

WOJNA
I MIŁOŚĆ

Katarzyna i Igor

JOLANTA MARIA KALETA

JOLANTA MARIA KALETA

WOJNA
I MIŁOŚĆ
Katarzyna i Igor



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Copyright © by Jolanta Maria Kaleta

Opieka redakcyjna: Monika Rossiter

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta, łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Nikola Hahn

Fotografia na okładce: kobieta – © Rekha Garton / Trevillion Images,
mężczyzna – © Ollyy / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-553-2



OTWARTE

www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

KATARZYNA

Część pierwsza

CISZA PRZED BURZĄ

ROZDZIAŁ 1

Katarzyna nerwowo przetrząsała zawartość przepastnych szuflad komody. Z uwagi na skąpe światło gasnącego dnia, które z trudem oświetlało jej pokój, nie należało to do rzeczy najłatwiejszych. Na domiar złego z głębi domu docierały do niej odgłosy pośpiesznej krzątania, skrzypienie otwieranych szaf, trzaskanie drzwiami, jakieś głośniejsze od czasu do czasu rzucone słowo, świadczące o przygotowaniach rodziny do wyjazdu, co tylko potęgowało desperację dziewczyny. Wkrótce na podłodze zaczęła lądować wyrzucana z szuflad bielizna, powiązane w pary pończochy, halki, koronkowe czepki i haftowane lejbiki, a pilnie poszukiwanego przedmiotu jak nie było, tak nie było.

– No gdzież się on, do diabła, zawieruszył? – mamrotała pod nosem bliska płaczu. – Przecież dobrze pamiętam, że go tutaj schowałam. Czyżby ta wścibska Gabryśka podkraśla?

Nagle na korytarzu dały się słyszeć drobne, szybkie kroki. Zanim drzwi gwałtownie się otworzyły, znaleziony w ostatniej chwili przewiązany czerwoną wstążeczką niewielki przedmiot zdążył zniknąć w kurczowo zaciśniętej dłoni Katarzyny. W szeroko otwartych drzwiach stanęła dojrzała,

lecz ze śladami dawnej urody na twarzy, szczupła i niewysoka kobieta. Na sobie miała karakułowe futro, spod którego wystawała długa, sięgająca kostek, ciepła spódnica. Jasne włosy uczesane w kok okrywał ciepły szal, owinięty szczelnie wokół szyi. Zaskoczonym spojrzeniem obrzuciła zastygłą w bezruchu dziewczynę. W jej rozsypanych na ramionach płowych włosach, skręconych w spirale loków, wpadające przez okno promyki słońca zaślniły złotą aureolą jak na obrazach przedstawiających świętych męczenników.

– Kasiu, dziecko moje – odezwała się surowym tonem, gdy otrząsnęła się z dziwnego wrażenia, jakie na niej wywarł widok córki. – Co ty wyprawiasz? – Wymownym spojrzeniem obrzuciła porozrzucaną po całym pokoju bieliznę.

– Klamra do włosów mi się zawieruszyła – odparła Katarzyna, uciekając spojrzeniem w bok. Nie umiała kłamać na zawołanie, ale powiedzieć prawdy nie mogła pod żadnym pozorem. – Ale już znalazłam.

– No to, na miłość boską, dlaczego stoisz jak słup soli?! – strofowała ją matka. – Ojciec i twoi bracia już dawno czekają przy saniach. Chyba nie chcesz, abyśmy się przez ciebie spóźnili na wieczerzę wigilijną?

– Ależ ja jestem gotowa, mamusiu – odparła z uśmiechem, całkowicie już opanowana. – Tylko palto włożę i możemy jechać.

Katarzyna, skończywszy na wiosnę siedemnaście lat, poczuła się już osobą dorosłą, choć jej rodzice, Agnieszka i Paweł Jaxa-Rawecy, byli całkowicie odmiennego zdania. Zwłaszcza ojciec, właściciel zakładu introligatorskiego i księgarni w Miechowie, ubolewał nad brakiem stateczności u swojej córki. „Jeszcze toto płocze i wcale do zamążpójścia się jej nie spieszy!” – zwykł mawiać, gdy Józef Koziński, właściciel apteki na rogu rynku i Krakowskiej, nagabywał go, czy nie zechciałby oddać córki jego synowi, Ksaweremu. Paweł utwierdzał się w tym przekonaniu, widząc, jak jego

Kasieńka zamiast do kościoła czy ze służącą na targ po zakupy, jedną ręką unosząc suknię, aby się nie powalała w błocie zalegającym na ulicy, drugą przytrzymując na głowie kapelusik, biegła do sklepu Hany Rubiki przy rynku po nowe koronki potrzebne do przystrojenia bluzeczki. W niczym nie przypomina swej matki, kobiety bogobojnej i statecznej, myślał nieraz zawiedziony. Musiał jednak w duchu przyznać, że w sklepie z galanterią, należącym do Izraela Jamy, a mieszczącym się po sąsiedzku z introligatornią, jego córka skutecznie potrafiła się wyklócać o cenę upatrzonych drobiazgów.

Jednego wszak nie wiedział: że właśnie nie dalej jak w zeszłym tygodniu kupiła tam jakiś drobiazg, na który wydała wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

– Tylko niech pan nic nie mówi mojemu papie – poprosiła, uśmiechając się przymilnie.

Choć Izrael Jama zaliczał się do osób wiekowych, których wdzięki kobiece nic a nic nie wzruszają, nie potrafił się oprzeć czarowi, jaki rzuciła Katarzyna, kiedy się uśmiechnęła. Wówczas w jej policzkach pojawiały się dwa słodkie dołeczki. Uroku dodawała jej burza jasnych loków, które uparcie wymykały się spod spinek i grzebieni, nie dając się ułożyć w modny kok na czubku głowy. Nawet związane w węzeł na karku już po godzinie rozsypywały się jej na plecy i ramiona. Choć matka Katarzyny miała podobne włosy, jakoś potrafiła wziąć je w karby i gładko uczesać.

– Pewno ma być to gwiazdkowy prezent dla jaśnie wielmożnego pana Raweckiego? – zgadywał Jama, zaglądając Katarzynie w oczy. Chyba siódmym zmysłem dostrzegł w nich skrywany głęboko na dnie smutek, o którym Katarzyna sama jeszcze nie wiedziała.

– Raczej nie – bąknęła speszona i poczuła oblewający ją rumieniec. – Poproszę jeszcze o tę klamrę do włosów – na wszelki wypadek szybko zmieniła temat, aby Jama przestał ją ciągnąć za język.

Kiedy ponaglana przez matkę wzięła ciepłe botki i włożyła zimowy płaszcz ozdobiony futrzanym kołnierzem, Raweccy w końcu mogli załadować się do głębokich sań, które miały ich zawieźć do Porętowa, do dziadka Andrzeja i babci Apolonii, nazywanej przez wszystkich Polą. Odkąd Katarzyna sięgała pamięcią, tam zawsze spędzali wigilię. Siedząc w saniach, opatulona baranią skórą, raz po raz sprawdzała ręką, czy aby nie zgubiła wciśniętego do kieszeni palta drobiazgu. Była tak przejęta, że nawet nie czuła tęgiego mrozu, który chwycił już na Świętego Andrzeja i nie miał zamiaru puścić. W kilka dni skuł lodem Miechówkę, rzeczkę płynącą na zachód od Miechowa, miasteczka rozlokowanego na wzgórzu, pośród pól i łąk Wyżyny Miechowskiej. Również dzwon stojącego w centrum Miechowa kościoła Grobu Bożego zdawał się ciszej wybijać godziny i wołać wiernych na nabożeństwa, jakby mu serce zamarzło. Co noc tęgi mróz ozdabiał szyby okien kwiatami z lodu, który Katarzyna wraz ze swoim młodszym bratem Albinem wyskrobywali paznokciami, aby oglądać spieszących Bóg wie dokąd przechodniów, okutanych w baranie kożuchy, ciepłe wełniane chusty lub kosztowne futra – na co kogo było stać.

– Ale śniegu w tym roku napadało. Od lat nie pamiętam takiej ostrej zimy. Czy my w ogóle damy radę dojechać do rodziców? – denerwował się jak zwykle Paweł, ubrany w ciepłą szubę. Z niepokojem spoglądał na biały puch, który grubą warstwą pokrył dachy niskich kamieniczek rozlokowanych przy rynku i przyległych uliczkach, opatulił domy luźno rozrzucone na przedmieściach, niczym puszysty dywan rozłożył się na drogach, jeszcze nie tak dawno rozmiękłych i błotnistych od jesiennych deszczy, a nawet wyciszył główny trakt, wiodący przez centrum miasteczka: na północ do Kielc, a na południe do Krakowa. – Dachy aż się uginają pod ciężarem śniegu.

– Oj, Paweł! – fuknęła Agnieszka i z dezaprobatą pokręciła głową. Jaki ten mój mąż strachliwy, pomyślała. – Przecież

to tylko trzy wiorsty, więc śniegu tam tyle samo co i u nas, a drogę dawno ubiły chłopskie furmanki.

Na chwilę zapadła cisza przerywana prychaniem koni zaprzęzonych do sań i głuchym stukotem kopyt po ubitym śniegu. Gdy wjechali na rynek, Agnieszce z daleka rzuciła się w oczy wysoka wieża kościoła Grobu Bożego, zwieńczona kopułą o kształcie globusa, cała zasypana śniegiem. Wygląda, jakby ktoś nałożył na nią czapę z białego futra, przyszło jej na myśl.

- Gdyby zrealizowano ten pomysł z posągiem Chrystusa – odezwała się sceptycznie, nie spuszczać oczu z kopuły – to pod tym ciężarem wszystko by teraz legło w gruzach.

- No, jak ty już coś powiesz! – obruszył się Paweł, który zaliczał się do zwolenników odlania z brązu figury, choć w czasach, kiedy owa idea się zrodziła, był zaledwie dziesięcioletnim wyrostkiem. Pamiętał, że bez żalu na ten zbożny cel oddał wówczas wszystkie zebrane w skarbonce kopiejki. Ale do realizacji projektu nie doszło, nawet nie wiadomo, z jakiego powodu. Od tamtego czasu dysponował znacznie większym dochodem, który przynosił mu nie tylko zakład na rogu Krakowskiej i Bóżnickiej, ale również puszczone w dzierżawę trzydzieści mórg ziemi, leżące na obrzeżach miasta, odziedziczone po dziadku ze strony matki. – Gadasz głupoty jak ten cały, pożałuj Boże, dziennikarzyna, jak mu tam... – udawał, że nie pamięta.

- Bolesław Prus, tatku – odruchowo podrzuciła Katarzyna, choć rozmowie rodziców przysłuchiwała się bez zainteresowania. Z uwagą rozglądała się wokół, jakby miała nadzieję kogoś ujrzeć pomiędzy spóźnionymi przechodniami spieszącymi do domów.

- No właśnie, Prus. – Paweł skrzywił się z niesmakiem. – Może też przynasz mu rację, że szpitala nie należało pobudować? – zżymał się, jak zawsze, gdy ktoś miał odmienne zdanie niż on. – Przez te jego farmazony wypisywane w gazecie

dróg nam nie wyrychtowano i nadal w błocie grzęźniemy! Śmiało o nas napisać: „kapuściane miasteczko”! To on ma głowę kapuścianą, ot co!

Z nieznanymi miechowianom przyczyn młody felietonista i pisarz nie darzył ich miasteczka sympatią, więc raz po raz jakieś złośliwości na jego temat w warszawskiej prasie zamieszczał.

Albin z odrobiną zazdrości spoglądał na dzieciarnię, która zdierała często i tak już zdarte zelówki butów, ślizgając się po lodzie, w który w mig się zamieniała rozchlapywana z beczek woda, rozwożona po mieście przez wozowodów. Jemu ojciec nie pozwalał na zabawę z „ulicznikami”, jak nazywał dzieci miejscowej biedoty, zwłaszcza tej żydowskiej, co Albinowi nie przeszkadzało robić tego bez jego wiedzy i zgody. Nim rok minie, odważy się na znacznie większe nieposłuszeństwo.

Jeszcze nie zdążyli minąć cmentarza, gdy nagle od strony pola ćwiczeń, znajdującego się na Poradowskich Wzgórzach, pobrzękując szablami, nadjechał szwadron dragonów stacjonujących w koszarach przy Wolbromskiej. Ponad setka dorodnych koni, wszystkie karej maści, głucho tętniła kopytami po ubitym śniegu, a z ich rozdętych nozdrzy buchały obłoki białej pary. Ubrani w czarne mundury dragoni, w czarnych kaskach, ozdobionych białym pióropuszem biegnącym od ucha do ucha, wszyscy wysocy i dobrze zbudowani, prezentowali się okazale i groźnie zarazem. Katarzyna zamarła i odniosła wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej gardłem.

Siedzący na koźle Wiktor, starszy brat Katarzyny, który z okazji świąt dostał urlop i przyjechał z Warszawy, gdzie pełnił służbę w elitarnym Ułańskim Pułku Lejb-Gwardii, z zainteresowaniem spoglądał na wracających do koszar żołnierzy.

- Który to pułk teraz stacjonuje w Miechowie? - spytał, odwracając głowę w stronę siedzących w saniach rodziców i rodzeństwa. Zdziwiła go bladość twarzy Katarzyny.

– Ten co zawsze – pospieszyła z odpowiedzią i przez chwilę spoglądała za znikającym w oddali szwadronem dragonów. – 45. Jamburgski Pułk Dragonów. Pan Jama tak mówił ostatnio, a Żydzi się na tym znają, bo z nimi handlują – dorzuciła, czując na sobie badawcze spojrzenie ojca.

Paweł jednak już na jej słowa nie zwrócił uwagi. Nagle przyszło mu do głowy, że chyba zapomniał zabrać z zakładu modlitewnik, który osobiście oprawił w cielecą skórę i umieścił po wierzchu złożone litery, układające się w ozdobny napis: „Bóg, nadzieja nasza”. Książeczka miała być prezentem gwiazdkowym dla Katarzyny. Dla chłopców przygotował koperty z gotówką, aby uczyli się gospodarować własnymi pieniędzmi. Miał przy tym płonąć, jak się miało okazać, nadzieję, że zawarta w owym modlitewniku mądrość Boża utemperuje płochy charakter jego latorośli. Szybko zrobił w myślach „rachunek sumienia”. Gdy zegar na wieży wybił południe, wyliczał w pamięci, odginając po kolei palce: sprawdziłem, czy robota zaplanowana na dziś została wykonana, później wręczyłem każdemu pracownikowi po parę kopiejek w prezencie gwiazdkowym i na koniec pogasiłem lampy. W tym momencie sobie uświadomił, że modlitewnik wsunął do kieszeni surduta. Szybciutko namacał go ręką. Jest, odetchnął z ulgą.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, ciesząc się na wieczór spędzony w domu swego dzieciństwa, w towarzystwie rodziców oraz brata z rodziną, mocno przygarnął żonę do siebie, a nawet ją pocałował w policzek, co często mu się nie zdarzało. Agnieszka obrzuciła go nieco zaskoczonym spojrzeniem, ale nie skomentowała zachowania męża. Ona prawie zdążyła zapomnieć o gorącym uczuciu, które ich połączyło, gdy pierwszy raz skrzyżowały się ich spojrzenia. Miało to miejsce wiele lat temu, w mijanym właśnie kościele Bożogrobców. Paweł służył wówczas do mszy i jak się później dowiedziała, rodzice planowali oddać go do seminarium

duchownego. Te kilka minut, kiedy patrzyli sobie w oczy, wystarczyło, aby stracił całe powołanie. Kiedy skończył edukację, wzięli ślub, a po roku przyszedł na świat ich pierworodny, któremu na chrzcie dano imię Cezary.

Od dziecka sprawiał kłopoty. Ząbkował boleśnie, budząc wszystkich domowników głośnym płaczem, zaczął mówić bardzo wcześnie, zamęczając rodzinę i niańkę setkami pytań. Jako trzyletni brzdąc podczas wizyty u dziadków stłukł cenną wazę chińską z kolekcji babci Poli. W szkole elementarnej wbil koledze stalówkę w nos, na innego napluł, kolejnego zaś kopnął w przyrodzenie, tylko dlatego, że byli Rosjanami.

– Bóg nas karze, że nie jemu poświęciłeś życie, tylko mnie – szlochała Agnieszka, nie dając już sobie rady. Tym bardziej że na świat przychodziły kolejne dzieci: Wiktor, Katarzyna i na końcu Albin.

– Nie opowiadaj głupot, Agnieszko – strofował ją Paweł. – Na co Bogu taki grzesznik jak ja, o słabej wierze? Wszyscy pierworodni sprawiają kłopoty – tłumaczył z pełnym przekonaniem do swoich racji. – Przecież to na nich rodzice się uczą wychowywać swoje pociechy. Jak pójdzie do gimnazjum, to się ustatkuje.

Jednak później było już tylko gorzej. Cezary uczył się w kilku szkołach średnich: w Kielcach, Marianopolu i Piotrkowie Trybunalskim, z każdej wydalany za wrogi stosunek do carskich władz szkolnych. Jakby tego było mało, ledwie ukończył gimnazjum, został socjalistą. Gdy sprawa się wydała, został aresztowany, a następnie wydalony z Imperium Rosyjskiego do Galicji, co niemal przyprawiło Pawła o atak serca, a Agnieszka na jakiś czas popadła w melancholię. Tylko dziadek Andrzej na wieść, że Cezary wstąpił do Strzelców, podkręcając zawadiacko wąsa, mawiał: „Zuch chłopak! Moja krew! Takich synów Polska potrzebuje!”.

Jakby tego było mało, drugi syn, Wiktor, ukończywszy gimnazjum realne, zgłosił się do służby wojskowej jako

jednoroczny ochotnik, a później zdał egzamin do szkoły oficerskiej. Paweł i Agnieszka, początkowo byli temu przeciwni, jednak w obawie, że kolejny syn opuści ojczystą ziemię, ulegli. „Jak już chce służyć w wojsku – oznajmił pewnego dnia Paweł – to już lepiej, żeby służył w naszym”. Czyli rosyjskim. Później tej decyzji gorzko pożałują, ale wówczas na wszystko będzie już za późno.

Paweł za taki stan rzeczy obwiniał swego ojca, Andrzeja, który od najmłodszych lat uczył wszystkie swoje wnuki do siadać wierzchowca, posługiwać się szablą i strzelać z dubeltówki. W najczarniejszych snach nie przypuszczał, że w ten sposób zaszczepli Cezaremu i Wiktorowi zamiłowanie nie do myślistwa i tradycji, ale do wojaczki. Katarzynie natomiast te umiejętności uratują kiedyś życie.

Ani się Rawecy spostrzegli, gdy ujrzeli przed sobą czterospadowy dach dworu w Porętowie. W chłodnym blasku grudniowego słońca parterowy budynek otynkowany na biało, z niewielkim kolumnowym gankiem, z rozświetlonymi od wewnątrz oknami, emanował spokojem i bezpieczeństwem, a jego mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy z czarnych chmur, które już się gromadziły na horyzoncie.

ROZDZIAŁ 2

Choć słońce już zniknęło za horyzontem, barwiąc niebo krwawą luną, Raweccy jeszcze nie zasiedli do wigilii. Zniecierpliwiona Katarzyna co chwilę biegła do salonu, aby spojrzeć na stojący na komodzie zegar, a ten sprawiał wrażenie, jakby stanął w miejscu. Najpierw mnie poganiali, a teraz i tak musimy czekać na stryjostwo z Kielc, zżymała się, zagryzając wargi, aby się nie popłakać. Jak nic spóźnimy się przez nich na pasterkę.

– Głodna jesteś, moja duszko? – z niepokojem dopytywała się babcia Pola, spoglądając na błyszczące nienaturalnym blaskiem oczy swojej najstarszej wnuczki. – A może, nie daj Bóg, ty chora jesteś, że tak cię nosi po domu? – Przytknęła dłoń do czoła wnuczki. Było gorące. – Nie masz ty aby gorączki?

– Ależ skąd, babciu. – Katarzyna uciekła spojrzeniem w bok. – Tak się babci tylko wydaje, bo ma zimne ręce. Nic mi nie jest. Albo nie. Jestem głodna – zmieniła na koniec zdanie. – Może zasiądźmy już do wigilii? – spytała z nadzieją.

– Co to, to nie! – babcia się zaśmiała. – Musimy poczekać na Leopolda z rodziną. Ale możesz pójść do kuchni poprosić

Antosiową o kawałek placka. Już wyjęła z pieca i zdążył przestygnąć – szepnęła konfidencjonalnie, aby Albin i Wiktor nie usłyszeli.

Kochała Katarzynę najbardziej ze wszystkich swoich wnucząt. Być może dlatego, że widziała w niej siebie, kiedy była młodą dziewczyną. Ta sama ciekawość świata i bezkompromisowość, to samo gorące, odważne serce. Jedyne ten smutek na dnie oczu wnuczki napawał ją niepokojem. Przyglądała dłonią siwe włosy uczesane w kok i ruszyła na poszukiwanie swej synowej, Agnieszki. Zastała ją w salonie, gdzie siedząc przy pianinie, grała ulubioną kolędę *Jezus malusieńki*. Andrzej z chłopcami pewno myszkują w spiżarni, pomyślała Pola, nigdzie ich nie widząc.

– Moja Agnieszko – szepnęła, pochylając się do ucha synowej – niepokoi mnie nasza Katarzyna. Jest jakaś podekscytowana i chyba ma gorączkę. Czy to aby nie zwiastun tuberkulozy?

Tylko tego mi brakowało, pomyślała z przerażeniem Agnieszka. Ona nic podejrzanego w córce nie zauważyła. Od rana się stroiła, nie mogąc się zdecydować, którą sukienkę włożyć. Nawet bez grymaszenia dała sobie zasnurować gorset, choć ostatnio wcale go nie nosiła, powołując się na hasła feministek, które zdobywały z roku na rok coraz więcej zwolenniczek.

– Chyba mama jest przewrażliwiona – odparła, zaprzestając grania. – Układałam jej dzisiaj włosy, bo poprosiła, i nie była rozgorączkowana. Nic a nic nie kaszle, a w nocy się nie poci... Nie, to pewno emocje – odgadła po chwili. – Nie może się doczekać prezentu od ojca. Jak podpatrzyła, będzie to pięknie oprawiony tomik poezji jakiegoś młodego poety, ponoć modnego w tym sezonie.

Rozmowę przerwało wejście Katarzyny. Kończyła zlizywać z ust okruszki ciasta. Obrzuciwszy matkę i babkę podejrzliwym spojrzeniem, gdy nagle umilkły w pół zdania,

podeszła do okna i zapatrzyła się rozmarzonym wzrokiem na rosnące przed domem dorodne lipy. Rzuciły długie i tajemnicze cienie na drogę. Tuż za bramą ciągnęły się aż po sam horyzont całe zasypane na biało pofalowane pola, a w oddali majaczyły przykryte śnieżnymi czapami dachy chłopskich chałup. Katarzyna cały czas czuła na sobie wzrok matki i babki oraz słyszała ich szepty. Czemu one mi się tak przyglądają? – pomyślała z niepokojem. – Czyżby coś podejrzewały? Może Jama jednak się wygadał? Odruchowo sięgnęła ręką do stanika, gdzie ukryła wyjęty z kieszeni pałta drobiazg. Był wciąż na swoim miejscu, bezpiecznie.

Nagle do jej uszu dotarł głuchy tętent kopyt po ubitym śniegu, rzenie koni i srebrzysty dźwięk dzwoneczków uwiązanych do uprzęży. Już po chwili przez szeroko otwartą bramę na obszerny podjazd wtoczyły się należące do dworu sanie, zaprzężone w parę gniadoszy. Siedzący na koźle tuż obok woźnicy Leopold, młodszy syn Andrzeja i Apolonii, mocno ściągnąwszy lejce, osadził konie tuż przed schodami wiodącymi na ganek. Choć był już mężczyzną w dojrzałym wieku, ojcem trójki dorastających dzieci, nie mógł sobie odmówić przyjemności powożenia końmi jak za młodych lat, gdy jeszcze mieszkał w Porętowie. Poganiane batem, drogę ze stacji kolejowej z Charsznicy do dworu pokonały bez mała w pół godziny, ku uciesze podrostków siedzących wraz z matką w głębokich saniach.

– No, w końcu przyjechali! – Katarzyna odetchnęła z ulgą i pomknęła do kuchni sprawdzić, czy Antosiowa nie spóźni się z wieczerzą.

Na ganek, zwabiony hałasami, wyszedł ojciec, teść i dziadek w jednej osobie, czyli stary Andrzej Jaxa-Rawecki. Na szerokie plecy, nieco pochylone pod ciężarem siedemdziesięciu trzech lat, narzucił barani kozuszek. Podpierając się laską, zszedł ostrożnie po szerokich schodach, aby jako pierwszy uściskać dawno niewidzianego syna i jego rodzinę,

przybyłych aż z Kielc, gdzie Leopold piastował urząd komisarza do spraw włościańskich. Wysoki jak ojciec, choć nie tak barczysty, zgrabnie zeskoczył z kozła i padł starszemu panu w objęcia. Z atencją ucałował jego zwiędłą, pokrytą starczymi plamami, lecz nadal silną dłoń o długich, kościstych palcach. Już po chwili z troską rzucającą się w oczy pomógł swojej małżonce Elżbiecie wygramolić się spod sterty ciepłych derek, którymi woźnica, gdy ruszali w drogę, okrył swych pasażerów, aby nie przemarzli.

- Dziadek Andrzej! - Dwóch wyrostków ubranych w zimowe płaszcze gimnazjalnych mundurów, okutanych szalikami po czubki nosów, nie kryjąc radości, rzuciło się w objęcia ukochanego dziadka.

Ich starsza siostra, szesnastoletnia Daria, na którą rodzice wciąż wołali Daszeńka, z godnością przynależną panie z dobrego domu, czując respekt przed surowym spojrzeniem szarych oczu swego dziadka, dygnęła grzecznie i spiekła raczka, czego nikt nawet nie zauważył, bo i tak miała policzki do czerwoności wyszczypane przez mróz. Nie można tego było powiedzieć o jej matce, której twarz pozostała blada, a sińce pod oczyma jakby się pogłębiły od jej ostatniej bytności w Porętowie. Dokuczający jej całą drogę kaszel tłumiała, kryjąc twarz w futrzanej mufce, aby mąż nie zauważył. To z mrozu, to tylko z mrozu, uspokajała samą siebie, starając się nie dopuszczać strasznej myśli, że ten kaszel mógł być zwiastunem znacznie poważniejszej choroby.

Jeszcze woźnica nie zdążył pozejmować z sań wszystkich bagaży, gdy nagle skryte w głębi ganku drzwi wejściowe otwarły się na oścież i na spotkanie swych młodszych kuzynów wybiegli Wiktor i Albin. Wiktor, aby nie drażnić dziadka rosyjskim mundurem, wdział na siebie barani kożuszek i futrzaną czapkę. Natomiast Albin, podobnie jak kuzyni, ubrany był w mundur ucznia gimnazjum. Cała czwórka natychmiast przystąpiła do zacieklej bitwy na kule ze śniegu. Oberwało

się nawet dziadkowi i Darii, która chichocząc, skryła twarz w dłoniach.

– Kawalerka! – donośny głos starego Raweckiego, kiedy już przywitał się z synową, a woźnica zabrał się do wnoszenia bagaży do dworu, przywołał młodych do porządku. – Marsz do środka, bo się pochorujecie! Babcia Pola i ciotka Agnieszka już na was czekają w salonie!

– Cioteczki Lali, to jest siostry Benedykty, nie ma? – nie kryjąc zawodu w głosie, spytała Daria.

Z natury cicha i zamknięta w sobie Lala już jako dziecko z zapalem uczestniczyła w obrzędach religijnych, a częste wizyty zaprzyjaźnionego z rodziną księdza proboszcza tylko ten jej rys charakteru pogłębiały. Wiodła z nim długie dysputy na temat żywotów świętych i razem czytali Biblię. Nikogo zatem z najbliższych nie dziwiła silna więź i porozumienie łączące Daszę z jej ciotką Urszulą, siostrą zakonną u krakowskich albertynek. Jedynie Leopold Rawecki był pełen obaw, czy jego ukochana córeczka, zamiast wyjść za mąż i urodzić dzieci, które będą stanowiły dla niego podporę na stare lata, czasem nie zapragnie poświęcić się służbie Bogu i ubogim jak jego siostra. Ale Lala od dziecka była brzydka, a moja Daszeńka jest piękna niczym róża, pomyślał, przypomniawszy sobie pokrytą śladami po ospie twarz siostry i jej kanciaste ruchy.

– Przykro mi, Daszeńko, ale, jak to mówią, obowiązki nie pozwoliły jej spotkać się z nami. – Dziadek z czułością spojrział na wnuczkę, która nie wiadomo kiedy zdążyła się przedzierzgnąć z dziecka w dorodną pannę, i podawszy jej ramię, wspierając się na lasce, ruszył w stronę domu.

Głośno tupiąc, wśród śmiechu i przekomarzania się Raweccy otrzepywali śnieg z butów i płaszczy na rozłożone w obszernej sieni chodniki. Na powitanie stryjostwa i kuzyńców wybiegła z kuchni Katarzyna, na chwilę oderwawszy się od swoich myśli. Momentalnie ten stary dwór, tak cichy

i senny na co dzień, wypełnił się gwarem głośnych rozmów, szczebiotem dziewczęcych głosów, dźwiękiem potracanych od niechcenia klawiszy pianina stojącego w salonie i szybkimi krokami służącej, roznoszącej w emaliowanych dzbanach ciepłą wodę do pokoi, aby przybyli z Kielc goście mogli się doprowadzić do porządku przed uroczystą kolacją.

Do wieczery wigilijnej rodzina Raweckich zasiadła jak zawsze przy długim stole rozstawionym pośrodku jadalni, przykrytym śnieżnobiałym obrusem, pod którym ułożono pachnące siano. Zgodnie z tradycją ustawiono dodatkowe nakrycie – dla zbłąkanego wędrowca, dla którego w tym gościnnym domu z pewnością miejsca by nie zabrakło. Zwłaszcza że w tym roku pustych krzeseł przy stole było wyjątkowo dużo. Na wigilii nie pojawił się Cezary, który od jakiegoś już czasu przebywał w Krakowie z zakazem wjazdu na tereny Królestwa. Nie mogła także do Porętowa przyjechać najmłodsza córka Andrzeja i Apolonii, Ewelina, której mąż, Seweryn Baranowski, właściciel majątku ziemskiego Raszkówka, w odległej guberni wołyńskiej, spadł z konia i złamał sobie nogę. Starszą zaś Urszulę, zakonnice u krakowskich albertynek, zatrzymały liczne obowiązki, związane z przygotowaniem wieczery dla najuboższych.

Z belki stropowej zwieszała się podłóżniczka, choć zgodnie z nową modą w salonie postawiono także choinkę, przystrójoną orzechami, cukierkami i piernikami w kształcie serc oraz czerwonymi rajskimi jabłuszkami, których dwa drzewka rosły w sadzie. U jej stóp piętrzyły się gwiazdkowe prezenty, które jakoby podrzucił Aniołek, a ich rozdaniem zajął się, strojąc tajemnicze miny, Andrzej Jaxa-Rawecki, senior rodu.

Gdy nacieszyli się otrzymanymi drobiazgami, przyszedł czas na życzenia i przelamanie się oplatkiem. Apolonia jak zawsze ukradkiem ocierała łzy, Agnieszka wygłaszała nieco przydługie przemowy, przygotowane indywidualnie

dla każdego, Liza życzyła wszystkim zdrowia, a Leopold i Paweł ograniczali się do kilku zdawkowych zdań, jednokowych w treści. Zapach grzybów, kapusty i drożdżowego ciasta, unoszący się po całym domu, nagle wszystkim uświadomił, że od postnego śniadania nic w ustach nie mieli. Z niecierpliwością czekali, aż pełniąca w domu Raweckich funkcję służącej i pokojówki tęga i krzepka Antosiowa, żona woźnicy, postawi na stole wagę pełną barszczu z uszkami. Powoli obszerna jadalnia wypełniła się gwarem rozmów i dzwonieniem łyżek o porcelanowe talerze, specjalnie z okazji świąt wyjęte z kredensu wraz ze srebrnymi sztuciami.

Paweł i Agnieszka, siedząc obok siebie, z niepokojem zerkali na córkę. Zdawała się duchem nieobecna, a jednocześnie dziwnie podniecona. Zawsze tak rozbrykana i śmiejąca się bez powodu, nerwowo dziobała widelcem w talerzu, ledwie pokosztowawszy kolejno podawanych potraw, i raz po raz zerkła na zegar wiszący na ścianie.

– A ją co znowu ugryzło? – szeptał, nachylając się do żony, spytał Paweł. – Nic nie je i wierci się, jakby na rozżarzonych węglach siedziała. Może gorset jej zbyt mocno zasznurowałaś?

– Znowu moja wina! – syknęła Agnieszka i lypnęła na męża spojrzeniem pełnym przygany. – A kto to widział panie na wydaniu dawać w prezencie gwiazdkowym modlitewnik? Co to ona do klasztoru się wybiera, jak nie przymierzając, twoja siostra, Urszula?

Choć niechętnie, Paweł musiał przyznać żonie rację. Ich córka w niczym Lali nie przypominała, a najmniej z charakteru. Jak tylko mogła, od pójścia do kościoła się wymigiwała, zrzucając winę jak nie na proboszcza, który zanudzał kazaniami, to na śmierdzące naftaliną odświeżne ubrania parafian, od czego dostawała ponoć migreny. Agnieszka i Paweł obawiali się, aby czasem ich córka nie wdała się w swą babkę, Apolonię z Krzysztoforskich. A tej do klasztoru było

daleko. Jak w Miechowie szeptano po kątach, do ołtarza z Andrzejem Jaxa-Raweckim szła już bez wianka. Jej brat, Józef, wikary w katedrze we Włocławku, wystarał się u biskupa o dyspensę, zwalniającą z obowiązku trzech zapowiedzi, aby owoc grzechu zanadto się nie uwypuklił pod ślubną suknią. Kto jak kto, ale Paweł doskonale pamiętał, że później to z jego powodu Urszulę wysłano do klasztoru. Nie miał jednak żadnych wyrzutów sumienia, gdyż siostra zdawała się pogodzona ze swym losem. Na zamążpójście i tak nie miała szans, z tymi śladami po ospie, uspokajał sam siebie.

– To co miałem jej podarować? – syczał żonie do ucha. – Przecież ta poezja to same bezeceństwa. Mnie, staremu, było wstyd czytać, a co dopiero panience... – Umilkł speszony, czując na sobie ciężkie spojrzenie matki. Ta też ciągle o coś ma pretensje, pomyślał, przypominając sobie czasy swego dzieciństwa, kiedy kroku mu nie wolno było zrobić bez opieki jak nie niańki, to matki. Natomiast jego młodsze rodzeństwo było kompletnie puszczone samopas, czego mu zawsze zazdrościł.

Jak ten mój Pawełek się postarzał, pomyślała Apolonia, dostrzegłszy siwe włosy na skroniach u swego pierworodnego. Przypomniała sobie czasy, kiedy był dzieckiem. Niewiele brakowało, a byłby umarł. Najpierw zachorował na koklusz, później na ospę wietrzną. Niańki musiały mu wiązać rączki do boków, aby się nie drapał po buzi. Ślady po ospie potrafiły przecież oszpecić na całe życie, o czym miała się przekonać kilka lat później jego siostra, Lala. Najgorsze przyszło, gdy Pawełek skończył pięć lat i zachorował na odrę, która miała wyjątkowo ciężki przebieg. Andrzej i Apolonia całą noc leżeli krzyżem przed kościelnym ołtarzem, ślubując, że syna przeznaczą na służbę Bogu, jeśli On dziecko od śmierci wybawi. Pomysł ten podsunął rodzicom ówczesny ksiądz proboszcz kościoła Grobu Bożego w Miechowie. I wówczas Pan Bóg widać się udobruchał, bo chłopczyk przestał chorować. Rósł

zdrowo, będąc dla młodszego rodzeństwa wzorem grzeczności i pilności. Z gorliwością służył do mszy, w pokoju dziecięcym, zamiast bawić się żołnierzami, budował z klocków zgrabne ołtarzyki, przed którymi się modlił nieustannie, i wszystko wskazywało, że wypełni wolę rodziców, wstępując do seminarium. Grom z jasnego nieba spadł, gdy podczas mszy ujrzał siedzące w pierwszej ławce śliczne dziewczę o jasnych kręconych włosach. Przy kolacji oświadczył kategorycznie, że nie czuje już powołania i nie ma najmniejszego zamiaru zostać klerykiem. I choć następnego dnia, aby grzeszne myśli wywietrzały mu z głowy, ojciec odwiózł syna do gimnazjum w Częstochowie prowadzonego przez krewnych, Paweł zdania nie zmienił i po skończeniu edukacji ożenił się z Agnieszką. Aby udobruchać Pana Boga, Andrzej i Apolonia pchnęli za furtę klasztorną jedną ze swoich córek, tę starszą, o imieniu Urszula, na którą wszyscy domownicy wołali Lala, choć w niczym lalki nie przypominała, wręcz przeciwnie. Dość wysoka i chuda, o kanciastych ruchach i surowym wyrazie twarzy, była ponoć podobna do babki Andrzeja, słynącej ze skąpstwa i złego traktowania służby. Naiwnie liczyli, że Pan Bóg się nie zorientuje.

– Dostaliśmy list od naszego Czarka z Krakowa – odezwiała się Agnieszka, czując na sobie świdrujący wzrok teściowej. Czyżby usłyszała naszą rozmowę, pomyślała z niepokojem. Na wszelki wypadek, gdyby nie o to chodziło, raz jeszcze otarła usta z resztek czerwonego barszczu, aby teściowa nie pomyślała, że się umalowała. – Pisze, że właśnie ukończył kurs wyższy, oficerski, i nie tylko awansował do stopnia podporucznika, ale także z rąk komendanta Józefa Piłsudskiego otrzymał wojskową odznakę „Parasol”. – Powiodła dumnym spojrzeniem brązowych oczu, otoczonych siateczką zmarszczek, po twarzach zebranej wokół stołu rodziny, zabierającej się do nakładania sobie na talerze porcji karpia po żydowsku, podanego ze słodką drożdżową

chalką. – Te ich oddziały strzeleckie dostały już mundury i broń. Proszę, niech ojciec zobaczy, jak nasz Cezary pięknie się prezentuje...

Z uśmiechem na rozpromienionej matczyną dumą twarzy podała teściowi przez stół przyslaną przez syna fotografię, wykonaną w zakładzie fotograficznym w Krakowie przy ulicy Zwierzynieckiej, jak wynikało z pieczętki. Na zdjęciu widniał postawny młody mężczyzna, ubrany w szary mundur, zapinany na jeden rząd guzików, z wysokim kołnierzem o zaokrąglonych rogach, w sukiennej czapce o okrągłym denku i ze sztywnym daszkiem, powszechnie noszonej przez chłopów po wsiach, a zwanej maciejówką. Stroju dopełniały wysokie oficerskie buty. Lewą dłoń wspierał na rękojeści szabli wiszącej u boku. Twarz o regularnych rysach ozdabiał ciemny, nieco zaniedbany zarost i jasne, żywe oczy.

– Zuch chłopak! Jak to mówią, moja krew! – pokrzykiwał radośnie dziadek Andrzej, dostrzegając poprzez nałożone na nos binokle ogromne podobieństwo między sobą a wnukiem, i nie tylko to fizyczne, ale także ten sam zapal do walki w imię wolności ojczyzny, płonący w oczach Cezarego. Gdy już nasycił wzrok widokiem młodego wojaka, podał fotografię żonie.

– Skoro już ich Austriacy uzbroili i umundurowali – oznajmiła ze smutkiem babcia Pola, przez lorgnon spoglądając na widocznego na fotografii wnuka – to znaczy, że jednak dojdzie do wojny. Zawsze tak się dzieje, kiedy mężczyźni zaczynają się bawić szabelkami, urządzają musztry i parady. A pole bitwy to nie jest defilada wojskowa, tylko brutalna rzeź...

Momentalnie z dna jej pamięci wychylił się koszmar walk powstańczych o Miechów. W ich wyniku śmierć poniosło prawie dwustu powstańców, miasto Rosjanie ograbili i puścili z dymem, a mieszkańców w znacznej części wymordowali. Wciąż pamiętała swąd dymu docierający aż

do Porętowa i luny pożarów rozświetlających tamte lutowe noce. W następnych tygodniach dochodziło w bliższej i dalszej okolicy do kolejnych bitew i potyczek, przynoszących śmierć powstańcom, a miejscowej ludności represje. Dzieśiątki dworów skonfiskowano lub splądrowano w poszukiwaniu ukrywających się rannych powstańców, a właściciele powleczono na Sybir.

Do Pawła nagle dotarła straszna prawda, że w razie wybuchu wojny, o której coraz częściej mówiło się w niektórych kręgach, a nawet pisano w gazetach, jego synowie – Cezary i Wiktor – znajdują się po przeciwnych stronach frontu i lufy karabinów skierują przeciwko sobie. Poczul lodowaty chłód na plecach i zawisł zatroskanym spojrzeniem na najmłodszym z synów, Albinie. Miał takie same jak jego matka i siostra, Katarzyna, brązowe oczy i jasne kręcone włosy. Krótko obcięte, ładnie układały się na karku i czyniły go podobnym do greckich posągów boga miłości Erosa. Jako poddany cara, gdy wybuchnie wojna, zostanie wcielony do armii, czy tego będzie chciał, czy nie, pomyślał z przerażeniem Paweł. Wojna powszechna, o którą sam nieraz się modlił w kościele, wojna, która miała przynieść wolność ojczyźnie, mogła zabrać jego ukochanych synów. Sam już nie wiedział, czy był gotów złożyć aż tak wielką ofiarę.

– Na razie nie będzie żadnej wojny – uspokajał Leopold przekonany do swych racji z uwagi na piastowany w aparacie władzy urząd. – Gdyby Rosja szykowała się do wojny, car już zarządziłby mobilizację, bo przecież ściągnięcie pułków i dywizji z dalekich krańców imperium trwa miesiące, wymaga ogromnego wysiłku ze strony taboru kolejowego oraz przygotowania zapasów dla wojska, więc kto jak kto, ale ja bym coś na ten temat wiedział.

Jakby na dowód swych słów ze stoickim spokojem dołożył sobie porcję klusek z makiem, choć, jak lubił mawiać, „na pierwszych już siedział”. Zerknął na swoją żonę, Elżbietę, na

którą mówiono Liza, od rosyjskiej wymowy jej imienia, Jelizawieci. Siedziała milcząca, z gracją wkładając sobie do ust niewielkie kawałki karpia. Panicznie się bała zadławienia ością. Jak opowiadano, w jej rodzinie już raz taki przypadek się zdarzył. Nie pamiętała jednak, kogo dotyczył. W dłoni kurczowo ścisnęła chusteczkę, którą przytykała do ust, jak tylko miała potrzebę kaszlnąć.

Daria, uspokojona słowami ojca, odetchnęła z ulgą i bezskutecznie usiłowała zainteresować Katarzynę opowieścią o ostatnich wydarzeniach na pensji, kiedy chłopcy zakradli się pod okno sali, gdzie dziewczęta miały akurat lekcję gimnastyki. Katarzyna jednak myślami była w zupełnie innym miejscu.

Słowa Leopolda wcale nie przekonały Poli. Zmarkotniała i posmutniała, dziobiąc widelcem w podanych właśnie pierogach z kapustą. Siedzący u szczytu stołu Andrzej Jaxa-Rawecki zatrzymał zatroskany wzrok na żonie, która mimo upływu czasu zachowała szczupłą sylwetkę i żywe spojrzenie jasnych oczu. Jedynie włosów, pszenicznych przed laty, teraz białych niczym mleko, nie splatała jak dawniej w warkocze, lecz upinała je w modny kok. Choć od chwili kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, minęło pół wieku, wciąż miał w pamięci tamten dzień, mroźny dzień powstania styczniowego.

– Wam, młodym, marzy się wojna – zaczął z pretensją w głosie, odsuwając od siebie talerz z pierogami. Nagle stracił cały apetyt. – Ale wy nawet nie wiecie, czym ona tak naprawdę jest, co to znaczy przelewać krew i patrzeć na śmierć swych towarzyszy... – Przerwał na moment, aby zaczerpnąć oddechu. Ostatnio coraz częściej miewał ataki duszności, jak tylko się czymś podekscytował. – Służycie w obcych armiach, zajmujecie posady w urzędach zaborcy, w szkołach mówicie po rosyjsku, przysięgacie na wierność carowi i zdaje się wam, że żyjecie normalnie. A nawet nie znacie smaku prawdziwego życia w wolnym kraju...

Katarzyna oblała się rumieńcem po czubki uszu. Choć była pewna, że dziadek jej tajemnicy nie znał, poczuła się winna. Leopold nie miał zamiaru wdawać się w jałowe dyskusje z niepoważnym romantykiem, za jakiego uważał swego ojca. Natomiast Albin i młodszy od niego kuzyni z Kielc – Mikołaj, na którego matka mówiła Kola, i Jerzy nazywany Jurą – nie spuszczały z dziadka ciekawskiego spojrzenia. Po raz pierwszy w ich młodym życiu mogli uczestniczyć w dyskusji dorosłych.

– Przecież dziadek też w żadnej wojnie nie brał udziału, więc skąd ma wiedzę? – Daria stanęła w obronie swego ojca i kuzynów z Miechowa, bo jak sądziła, to do nich pił stary Rawecki.

W jednym z nich, w Cezarym, kochała się skrycie zakazaną miłością. Nikt też nie wiedział o wymianie listów pomiędzy nimi ani nikt nie zauważył, jak Daria wykorzystała moment nieuwagi ciotki Agnieszki i fotografię Cezarego ukryła w kieszeni sukienki z granatowego aksamitu, którą miała na sobie.

Wiktor słowami dziadka poczuł się dotknięty do żywego. Dłużej już nie miał zamiaru znosić tych ciągłych wymówek i odłożywszy na bok widelec, oznajmił tonem pełnym pretensji:

– Przecież ja, dziadku, nie miałem innych możliwości. Czy to moja wina, że nie ma polskiego wojska? A ja bez munduru nie wyobrażam sobie życia...

– Ale Rosja to nasz wróg – stanowczym tonem tłumaczył dziadek. – Jeśli tak koniecznie chcesz paradować w mundurze, z szabelką u boku, to wyjedź do Galicji. Tam już tworzą się załóżki polskiej armii. Otwiera się szansa, aby Polska stała się trzecim członem monarchii. Tam jest też twój brat – dodał na koniec koronny jego zdaniem argument. Nie wziął pod uwagę, że Wiktor, jak wielu młodszych braci, był zazdrosny o pierworództwo Cezarego i zamiast go naśladować, postępował dokładnie odwrotnie.

– Ależ dziadku! – Wiktor machnął ręką i uśmiechnął się z odrobiną wyższości. – To przecież zbieranina amatorów! Nie mają kawalerii ani nawet przyzwoitych karabinów, tylko jednostrzałowe werndle. Dużo nimi nie zwojują. My na wyposażeniu mamy mosiny. Poza tym to są socjaliści! Ten cały Piłsudski jeszcze parę lat temu kierował bojówkami. Nawet na banki napadali. Ale jest jeszcze coś. Coś znacznie ważniejszego... – zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś postronny może usłyszeć ich rozmowę. – Tylko wojna między zaborcami, kiedy się rzucą sobie do gardel, może przynieść Polsce niepodległość. Wówczas tacy jak ja, wyszkoleni i uzbrojeni, będą ojczyźnie potrzebni.

Przy stole zapadła cisza, zakłócana jedynie dyskretnym stukaniem widelców po talerzach podczas spożywania pierogów, którymi nagle wszyscy się zainteresowali. Słowa Wiktor zaskoczyły Andrzeja. Takiej dojrzałości u tego młodego chłopaka się nie spodziewał. Spojrzał na wnuka z podziwem i podkreślił wąsa.

– Wszystko przez to, że nie uczycie swoich dzieci historii – zwrócił się z wyrzutem do Leopolda i jego żony. – Naród, który nie zna swej historii, skazany jest na jej powtórne przeżycie. A tego dla swoich dzieci byćcie chyba nie chcieli?

– Te całe powstania to romantyczne mrzonki! Przyniosły więcej strat niż pożytku. Nie pozwolę moim dzieciom mącić w głowach – obruszył się Leopold i aby ostudzić emocje, wypił duszkiem szklankę kompotu z suszonych owoców. Ojciec, choć stary, nadal budził w nim respekt. – Rosjanie to przecież Słowianie jak my – wyluszczał podniesionym tonem swoje racje. – Jesteśmy częścią wielkiego mocarstwa. Jak będziemy lojalni, to car przywróci konstytucję i swobody. Bez powstań.

– Jakie powstania? – natychmiast zainteresował się Kola, a Jura za nim powtórzył:

– No właśnie. Jakie powstania? Dziadek brał w nich udział?

Katarzyna, Albin i Wiktor, choć o powstaniu styczniowym opowiadali im rodzice, nie wiedzieli, że dziadek Andrzej w nim walczył. Była to ściśle skrywana tajemnica rodzinna, o której wiedziała jedynie Apolonia. Jak twierdziła Agnieszka, to właśnie Andrzej, poprzez swoje opowieści o Napoleonie, o powstaniu listopadowym i tym ostatnim, styczniowym, przyczynił się do ukształtowania niepokornego charakteru jej pierworodnego syna, Cezarego, i tym samym wypchnął go z domu.

– Walczyłem, a jakże, walczyłem – odparł nie bez dumy i podkreślił zawadiacko wąsa. – Ale to było bardzo dawno temu. Jeszcze waszych rodziców nie było na świecie, a ja, jak to mówią, byłem gołowąsem.

– Przeciwno komu było to powstanie? – dopytywał się Jura.

Kola nie bardzo rozumiał, co to znaczy „powstanie”. Pierwszy raz słyszał taki wyraz, jednak nie miał śmiałości pytać, aby go brat nie wyśmiał.

– No, przecież wiadomo, że przeciwko Rosji. – Andrzej zapalił się do opowieści. Ostatnio coraz chętniej wracał pamięcią do lat swojej młodości. – Wieść o koncentracji oddziałów powstańczych w Ojcowie dotarła do naszego dworu w Grabowie pod Krakowem lotem błyskawicy i musicie mi uwierzyć, że nie było takiej siły, która by mnie zatrzymała w domu. Ojciec, oczywiście potajemnie, kupił dla mnie u Żyda rewolwer oraz podarował mi swój pałasz...

– Co to jest pałasz? – wtrącił wiecznie wszystkiego ciekaw Jura.

– To taki rodzaj białej broni – uprzedzając dziadka, wyjaśnił Wiktor. Jako oficer pełniący służbę w armii, uważał się za znawcę tematu. – Pałasz wywodzi się od miecza, posiada długą i prostą głownię, zdatną do zadawania pchnięć, a także do cięcia. Nasza kawaleria w znacznej mierze posługuje się szaszka, takim rodzajem szabli, która jest trochę

krótsza i lekko wybrzuszona, bo wywodzi się od długiego noża, powszechnej od wieków broni na Kaukazie. Spoczywa w pochwie ostrzem do góry, więc po wyjęciu od razu mogę ciąć przeciwnika. O, tak... – Zerwał się z krzesła i trzymając w dłoni widelec, zgrabnie zamarkował atak na wyimaginowanego wroga.

– Już nam tutaj tak nie wymachuj widelcami, bo jeszcze komuś oczy wylupisz – zganiał go stryj Leopold, widząc malujący się na twarzach swych synów zachwyty. On nie planował dla nich kariery w wojsku.

Wiktor usiadł na swoim miejscu i naburmuszony zabrał się do jedzenia kolejnej porcji pierogów, tym razem z suszonymi śliwkami, polanych miodowym sosem. Jego bardziej niż przeszłość interesowała przyszłość, a stryja Leopolda jakoś nigdy nie potrafił polubić.

– Niech dziadek opowiada dalej – poprosili zgodnym chórem Kola i Jura i wsparli się łokciami o stół. Ich zdaniem Wiktor jak zwykle się popisował. O niczym z nim nie można było porozmawiać, jedynie o karabinach, szablach i armatach. A zamiast bawić się w berka, ciągle urządzał im podchody.

– Do Krakowa waliły tłumy ochotników, a na ulicach ga-wieź o niczym innym nie rozprawiała, jak tylko o tym powstaniu – Andrzej, zachęcony przez wnuki, wrócił do opowieści. – Wprost z dworca młodzi kupą szli do kamienicy Pod Rakiem, gdzie na oczach austriackiej policji odbywała się rekrutacja. Na placach prowadzono sprzedaż wybrakowanej broni oraz licytację wojskowych koni, a chętnym, że tak powiem, bez środków do życia wypłacano nawet jakiś żołd. Dopiero po kilku dniach policja wkroczyła do biura, zaczęły się aresztowania i rewizje w prywatnych domach. Ale myśmy już zdążyli pod osłoną nocy przekroczyć granicę Królestwa, przez nikogo niezatrzymywani. Jak mówiono po wsiach, straż graniczną Rosjanie ściągnęli do okolicznych miasteczek i oczekiwali na rozwój wydarzeń... – Obliznął

wyschnięte usta i umościwszy się wygodnie na krześle, opowiadał dalej: – Szliśmy w długim szeregu, ustawieni czwórkami, w milczeniu przemierzając zasypane śniegiem niekończące się pola. W naszych zapalonych głowach kołatała się tylko jedna myśl, że oto już niedługo staniemy oko w oko z wrogiem... – Rawecki umilkł, a jego wzrok podążył za okno, na pokryty śniegiem podjazd i rzędy drzew przed domem. Nagle oprzytomniał i z przepaszającym uśmiechem mówił dalej: – Noc miała się ku końcowi, gdy nagle gdzieś z krzaków dobiegł do nas gromki głos: „Stój! Kto idzie? Ha-sło!”, i wyskoczyły ku nam obozowe strażę. „Swoi idą! – odparł nasz dowódca. – Niech żyje Polska!” Radość ze spotkania naszych była nie do opisania. Już mniej się cieszyliśmy, kiedy resztę nocy przyszło nam spędzić w stodole. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak ja wówczas zmarłem! – Zaśmiał się, przypominając sobie, jak rankiem dzwonił zębami, kiedy ich postawiono przed obliczem oficerów.

– Pewno tak samo jak ja, kiedy wpadłem do przerebła – oświadczył całkiem poważnie Kola, zapatrzony w dziadka jak w obrazek.

– No, może aż tak to nie, ale podobnie – odpowiedział rozbawiony Andrzej i poczochnął jasną czuprynę swego wnuka. – Dowodził nami Apolinary Kurowski – wrócił do opowieści, widząc, że wszyscy słuchali go z zainteresowaniem. – Nie miał na sobie munduru, tylko dość szeroką biało-czerwoną szarfę przewiązaną przez pierś.

– A dlaczego biało-czerwoną? – spytał Kola, wsparty łokciami o stół, czego zasłuchane w słowa Andrzeja matka i babka nie zauważyły.

– Bo to barwy narodowe państwa polskiego – odparł Andrzej i zerknął wymownie na Leopolda, a ten spuścił wzrok na pierogi, które właśnie żona nakładała mu na talerz. Ojciec ma rację, pomyślał ze wstydem, to moja wina. W szkole ich przecież o Polsce nie nauczą. – Drugim oficerem, ku mojemu

zaskoczeniu – stary Rawecki wrócił do wspomnień – był pułkownik Franciszek Rochebrune, który w Krakowie prowadził lekcje fechtunku. Jak się okazało, właśnie ze swoich uczniów tworzył, na wzór francuskiej lekkiej piechoty, oddział żuawów śmierci. Oczywiście, przypomniał sobie mnie natychmiast i wraz z kilkoma innymi, jak to mówią, wziął pod swoją komendę. Może zdecydował też o tym fakt, że posiadaliśmy rewolwery i pałasze, bo pozostali za jedyną broń mieli trzymane w dłoniach wylamane w lesie drągi? – spytał retorycznie i na moment się zamyślił.

– Przyzna dziadek, że rozsądne to nie było – wtrącił sceptycznie Wiktor. – Z kijami rzucać się na karabiny. Nawet spotkany po drodze pierwszy lepszy patrol rosyjski w try miga zrobiłby z wami porządek.

– Patrząc z dzisiejszej perspektywy – Andrzej spojrzal na wnuka szarymi oczyma, przepełnionymi smutkiem – zwłaszcza siedząc za suto zastawionym stołem, tak się może wydawać. Ale bywają w życiu człowieka takie chwile, kiedy kieruje się sercem, a nie rozumem. Obyś nigdy się nie znalazł w sytuacji, kiedy będziesz musiał dokonać takiego wyboru. Uwierz mi, że decyżja nie jest łatwa.

– Ale za to jakie to romantyczne! Jak z powieści! – zachwyciła się Liza, będąca świeżo po lekturze *Wiernej rzeki*. Nie знаła swego teścia z tej strony. Zawsze go miała za statecznego i prostolinijnego „hreczkosieja”, jak mówiło się u niej w domu na zasiedziały ch na roli gospodarzy. – Niech tato opowiada dalej – poprosiła z uśmiechem na swojej bladej twarzy.

– Okazało się, że żuawi śmierci to była, jak to mówią, elitarna jednostka. – Andrzej z uśmiechem podkreślił węża, dumny, że przyszło mu trafić właśnie tam. Przez cały okres powstania żuawi śmierci budzili w Rosjanach paniczny lęk. – Mieliliśmy osobną kwaterę i kuchnię. Nie wymagano od nas pełnienia służby obozowej i wartowniczej, ale za to całymi

godzinami prowadziliśmy mordercze ćwiczenia. Strzelanie do tarczy, fechtunek i musztrę – wyjaśnił, uprzedzając pytanie Jury, który już otwierał usta. – Ale żebyście widzieli nasze mundury! – Zaśmiał się na samo wspomnienie. – Była to czarna kamizelka z naszytym przez środek dużym białym krzyżem, na to czarny surdut i do tego czarne bufiaste spodnie do kostek – opowiadał, żywo gestykułując rękoma. – Najdziwniejsze jednak były nasze czapki! – Parsknął śmiechem. – Zaraz wam pokażę! – Zerwał się z krzesła i wybiegł z jadalni.

Wrócił po chwili, niosąc w ręku czerwone nakrycie głowy w kształcie stożka, z kutasikiem na czubku, u dołu obszyte szarym barankiem. Nałożył Wiktorowi na głowę, a Kola i Jura, kryjąc twarz w rękawach, chichotali głośno.

– To jest fez – oznajmił Andrzej nie bez dumy. – Mnie też początkowo śmieszyło, ale wkrótce przywykłem. Szeregowi żołnierze mieli białe obszycia – dorzucił, widząc, jak Wiktor z zainteresowaniem obracał fez w palcach.

– A ten otwór to co to jest, dziadku? – spytał, zauważywszy niewielką dziurę w futrzanym obszyciu. Wsunęty palec przeszedł na wylot.

– Pewno mole wygryzły – powiedziała Liza, krzywiąc usta z niesmakiem. – Skaranie boskie z tym robactwem. Musi mama bagno rozłożyć w bieliźniarce albo lawendę...

– To nie żadne mole, tylko dziura po kuli karabinowej – oznajmiła stanowczym tonem milcząca do tej pory Pola i wzrokiem zganiała synową. No i wyszła z niej Rosjanka, pomyślała kąśliwie.

Zapanowała przykra cisza, przerywana jedynie dzwoeniem sztućców o porcelanę, a Liza zakasłała, przytykając chusteczkę do ust. Sytuację uratowała Antosiowa, która weszła do jadalni, niosąc na tacy drożdżowy przekładaniec, którego słodki zapach rozszedł się wokół. Momentalnie wszyscy się zainteresowali ciastem, zapominając o gafie po-

pełnionej przez Lizę. Pola każdemu nałożyła na talerzyk po kawałku i sama też z ochotą zabrała się do jedzenia.

– Delicje! – zachwycił się Leopold, który przepadał za dobrą kuchnią, lecz ku swemu zmartwieniu w Kielcach nie trafił na taką kucharkę jak Antosiowa.

Nawet Katarzyna poczuła napływającą do ust ślinkę i z ochotą pałaszowała ciasto, a Kola i Jura zaczęli się spierać, z czego było zrobione nadzienie. Kiedy już zjedli po kawałku, Kola spojrzał na dziadka.

– Miał nam dziadziuś opowiedzieć o tym powstaniu, w którym brał udział – przypomniał Andrzejowi i wykorzystując okazję, że na starego Raweckiego skierowały się oczy całej rodziny, błyskawicznie porwał z patery kawałeczek ciasta. W domu matka ograniczała im słodczyce, twierdząc, że są niezdrowe i psują się po nich zęby.

– No, przecież cały czas o nim opowiadałam – odparł, uśmiechając się do wnuka. – Jak to mówią, czyniliśmy gorączkowe przygotowania do bitwy o Miechów. Dla tych, którzy karabinów ani pistoletów nie mieli, kosy trzeba było przekuć na sztorc, na furmanki prowiant załadować, konie podkuć, rozdzielić między powstańców amunicję, a mieliśmy jej tyle, co kot napłakał. Każdemu dali po garści prochu, po dwie garści ołowianych siekańców i kilkadziesiąt kapsli. Poupychałem to wszystko po kieszeniach, bo nawet ładownic dla wszystkich nie starczyło. A wielu nas przecież nie było. – Westchnął ciężko i zmarkotniał. – Ot, ośmuset śmiałków gotowych złożyć swe młode życie w ofierze za wolność ojczyzny. Przeciw nam stanęły, o czym wówczas jeszcze nie mieliśmy pojęcia, skryte za murami miasta trzy rotę strzelców, jedna rota piechoty i sotnia kozaków.

– To razem, lekko licząc, siedmuset żołnierzy. Do tego dobrze wyćwiczonych i zapewne uzbrojonych już w nowoczesne dalekosiężne karabiny – wtrącił Wiktor, podziwiając w duchu dziadka za odwagę. Jeszcze wówczas nie wiedział,

że kiedy sam stanie w obliczu przeważającej siły wroga, i jemu jej nie zabraknie.

– Co racja, to racja – zgodził się stary Rawecki. – Ale o tym wszystkim ani nasz dowódca, Apolinary Kurowski, ani my nie mieliśmy pojęcia. Powiadano przecież po wsiach, że Moskale Miechów już opuścili, a my daliśmy tym pogłoskom wiarę.

– A nie przyszło wam do głowy, że mogli urządzić zasadzkę? – spytał Leopold, którego słowa ojca utwierdziły w przekonaniu, że powstanie było tragicznym w skutkach błędem. – Skoro nawet do was do dworu dotarły wieści, że Kurowski koło Ojcowca gromadzi wojsko, to Rosjanie też musieli o tym wiedzieć.

– Ano, synku drogi, nie przyszło nam do głowy – Andrzej rozłożył ramiona w geście bezradności – bośmy wszyscy byli cywilbanda, dla której walka o wolność ojczyzny była na pierwszym miejscu, i o własne życie żeśmy nie dbali, jak to teraz jest w zwyczaju. Pokładaliśmy nadzieję w naszych oficerach, że wiedzą, co czynią. Jakbyś wiedział, że upadniesz, tobyś usiadł, prawda?

Paweł ryknął głośnym śmiechem, Liza i Agnieszka chichotały rozbawione, a Kola i Jura pokładali się ze śmiechu. Jedyne Leopold chrząkał, udając, że uwagi nie dosłyszał, bo się właśnie zakrztusił okruszkami ciasta. Nawet Katarzyna oderwała się od swoich myśli i się uśmiechnęła. Jedyne stary Rawecki pozostał śmiertelnie poważny. To, co chciał opowiedzieć, wcale nie było do śmiechu.

– Równo o świcie otrzymaliśmy rozkaz wymarszu – zaczął, gdy wszystkim wesołość przeszła. – Szliśmy dzień i noc, z krótkimi przerwami na odpoczynek. A zima była wówczas mroźna i śnieżna, jak dziś. Ręce grabiały nam z zimna, niejeden dzwonił zębami. O brzasku, zmęczeni do granic wytrzymałości, wyszliśmy z lasu i naszym oczom ukazał się Miechów, spowity poranną mgłą. Nas, żuawów, Kurowski posłał, jak to mówią, na pierwszy ogień. Szliśmy tyralierą w kompletnej

ciszy. Jedynie śnieg skrzypiał nam pod nogami. Nawet wiatr zamarł. Przelatujące to w jedną, to w drugą stronę ptaszyska, jakby przeczuwając, co się święci, krakaniem zwoływały się na ucztę. Po krótkim czasie ujrzeliśmy wały otaczające miasteczko. Wówczas Rochebrune, ten to był w gorącej wodzie kąpany, dobywszy rewolweru, zawołał: „Żuawi śmierci! Naprzód!”. I wbiegł na wał, a my za nim. Nie mieliśmy pojęcia, że po drugiej stronie znajdował się cmentarz, na którym skryli się Rosjanie. Przyczaili się pomiędzy mogiłami i nagrobkami. Jak tylko nas ujrzeli, z miejsca otworzyli ogień...

– Mówi ojciec o naszym cmentarzu? Tym przy wylocie z miasta? – upewnił się Leopold. Choć opowieść go interesowała, z uwagi na dzieci wolałby, aby Andrzej zmienił temat. Już z miny ojca się domyślał, że musiało dojść do krwawej jatki.

– O naszym, synu, o naszym. W Miechowcie nie ma innego cmentarza. – Andrzej posłał mu piorunujące spojrzenie, domyślając się intencji, i opowiadał dalej: – Nie zważając na grad kul, które wielu z nas położyły trupem, rzuciliśmy się na Moskali jak huragan. Nawet nie zdążyli nabić broni do drugiego strzału. Praliśmy, czym popadnie. Szablami, bagnietami, kolbami, nawet pięści poszły w ruch. Tumult uczynił się straszny. Tych krzyków rannych i jęków konających do końca życia nie zapomnę... – Głos uwiązał mu w gardle, a pod powiekami zapiekły go łzy. Wciąż miał przed oczyma, choć minęło tyle lat, martwe ciała przyjaciół z Krakowa, leżące w kałużach krwi pomiędzy nagrobkami. Wśród nich chorąży, cięty szabłą przez głowę, wciąż ściskający w dłoniach pułkowy sztandar.

– I to już był koniec, tak? – spytał zawiedziony Kola. Jakś sobie to inaczej wyobrażał.

– Koniec? – prychnął Andrzej. – To dopiero był początek! Kiedy zbrakło mi naboju, dobyłem pałasza. Przeskakując nagrobki, rozdzielałem sztychy na lewo i na prawo. I ciach! I ciach! – Machał ręką uzbrojoną w widelec. – Prałem, jak

popadło, po osłupiałych z przerażenia Moskalach! Alem się nie ustrzegł nieszczęścia. Jeden z nich ugodził mnie bagnietem. O, tutaj... – Przytknął dłoń do piersi i oddychał ciężko, zmęczony opowieścią.

– Ma dziadek bliznę? – zainteresował się Kola, który nigdy w życiu nie widział żadnej blizny, poza tą, którą Jura miał na kolanie, gdy wywalił się, jadąc rowerem.

– Mam – odparł Andrzej, ale na pokazywanie blizn się nie zdecydował. Nie uchodziło przy paniach. – Szczyściem ostrze natrafiło na krzyż, ten, który zawiesiła mi na szyi matka, jak wyruszałem do powstania, no i poszło bokiem. Zdołało jednak przeciąć grube sukno żakietu i ślizgając się po żebrach, rozpruło mi płat skóry. Ale w ferworze walki nawet nie poczułem bólu. – Machnął lekceważąco ręką. – Tym bardziej że Rosjanie już uciekali z cmentarza, a bitwa dobiegała końca. Za to nasze zwycięstwo słono zapłaciliśmy. Ze stu dwudziestu towarzyszy została nas tylko garstka. Reszta leżała martwa pomiędzy grobami... – Andrzej umilkł i przy stole zapanowała cisza.

Nikt z obecnych nie śmiał wyrzec ani słowa, bo każde zdawało się nie na miejscu, a w oczach Poli zaszklily się łzy. Nawet Katarzyna wolała już o nic nie pytać, rozumiejąc tragedię, którą przeżył jej dziadek.

– Już po chwili ze swoim sztabem pojawił się Kurowski... – stary Jaxa-Rawecki, kiedy chłodnym kompotem przepłukał wysuszone gardło, zdecydował się wrócić do opowieści. – Wydał rozkaz atakowania miasta, choć już wiadomo było, że stacjonowali w nim Moskale.

– Nie mógł mu dziadek wytłumaczyć, że to niedorzeczny rozkaz? – spytał Jura. On zawsze, widząc bezsens poleceń ojca, wdawał się z nim w słowne przepychanki.

– Co ty wygadujesz! – obruszył się Wiktor. – W wojsku z położonymi się nie dyskutuje! Otrzymujesz rozkaz i go wykonujesz.

Wiele lat później przyjdzie taki czas, kiedy Jura dostanie rozkaz zbyt trudny do wykonania. Dopiero wówczas dziadka zrozumie.

– Otóż to, Jureczku. Służba nie drużba, jak to mówią. – Andrzej uśmiechnął się z nostalgią. – Pułkownik Rochebrune starał się mu przemówić do rozsądku. Ale gdzie tam! – Machnął ręką. – Kurowski się uparł jak wół. „Ja tutaj dowodzę! – oświadczył wyniośle. – Wykonać rozkaz!” Cóż było robić? – Bezradnie rozłożył ramiona. – Garstka naszych dotarła ulicą Krakowską do rynku, a tam! Jak nie hukną salwy z karabinów ustawionej w rynku piechoty! Jak nie posypie się grad kul z okien, dymników i dachów stojących wzdłuż ulicy kamienic, gdzie skryli się Moskale. Ci z pierwszych szeregów od razu padli martwi na bruk. Reszta usiłowała się wycofać, ale z tyłu za nami w tę ciasną uliczkę z okrzykiem na ustach: „Naprzód! Jezus i Maria!”, wpadła galopem nasza kawaleria, posłana przez Kurowskiego. Nie patrząc na ofiary, siekli pałaszami na lewo i prawo, aby wyrąbać sobie drogę pośród moskalskiej piechoty... – Przerwał na moment opowieść, czując, jak wzruszenie sznuruje mu gardło. Wciąż miał mu w uszach huk wystrzałów i rżenie koni oraz czuł zapach prochu i krwi, jakby to było wczoraj. – Choć mięsa nasiekli sporo – mówił po chwili dalej – słono płacili za swoją odwagę. Wielu z nich leżało martwych na bruku, inni rżęzili w przedśmiertnych konwulsjach, a pozbawione jeźdźców konie na oślep gnały przed siebie. Aby nas nie stratowały, ja wraz z kilkoma towarzyszami rzuciliśmy się co sił w nogach w stronę budynków dawnego klasztoru. Jednak zanim zdołałem przypaść do murów kościoła, otworzyli do nas ogień Moskale, ukryci po strychach i na dachach...

– Z wojskowego punktu widzenia... – wtrącił się Wiktor, gdy Andrzej na moment zaprzestał opowieści. Oddychał ciężko, wzruszony wspomnieniami, którymi z nikim nie dzielił się od lat. – Kurowski popełniał błąd za błędem. Po pierwsze, nie rozpoznał przeciwnika. Po drugie, nie posyła

się kawalerii w ciasne uliczki miasta. Nikt go nie postawił przed sądem polowym?

– Nie ma się czemu dziwić, Wiktorze – odparł Andrzej, powoli dochodząc do siebie. – Kurowski nie posiadał, jak to mówią, wykształcenia wojskowego, jeśli nie liczyć roku służby w armii pruskiej. Ponieważ o tym uprzedzał, kiedy powierzono mu stanowisko wodza na województwo, sąd *summa summarum* wielkiej winy się nie dopatrzył.

– Oj, Wiktor, przestań się wymądrzać – burknął Paweł, pierwszy raz słysząc o tych dramatycznych wydarzeniach. Rozpalily jego wyobraźnię do żywego, lepiej niż powieści Sienkiewicza. – Niech ojciec opowiada, co było dalej.

– Ostrzeliwałem się z rewolweru w zasadzie na oślep, bo nie wiedziałem, gdzie czaił się wróg – Andrzej, choć już zmęczony, wrócił do opowieści, ciesząc się, że rodzina chciała go słuchać. – Wokoło kwiczały konające konie, zewsząd dobiegały krzyki walczących i jęki rannych. Miałem wrażenie, że ten nieprzerwany huk karabinowych salw zaraz rozerwie mi bębni w uszach. Nagle pac! I coś z taką ogromną siłą uderzyło mnie w ramię, że rewolwer wypadł mi z ręki. Jeszcze nie zdążyłem na dobre zorientować się w sytuacji, gdy coś świsnęło mi tuż nad głową. Poczulem okropny ból i straciłem przytomność.

– To już wiemy, skąd ta dziura w fezie! – wykrzyknął podekscytowany Paweł. Nagle zdał sobie sprawę, że w ogóle nie znał swego ojca. Spojrzał na niego z czułością i podziwem zarazem.

– No, właśnie stąd. – Andrzej kiwnął głową i ciągnął dalej: – Ocknąłem się po chwili z twarzą zalaną krwią. Widać rosyjska kula, zerwawszy z głowy ów śmieszny fez, musnęła mi nieco czuprynę...

Oczy wszystkich skierowały się na szeroką bliznę widoczną tuż nad czołem, którą brali do tej pory za zwykłą łysinę.

– Gdy nieco doszedłem do siebie, podniosłem z ziemi rewolwer, a na głowę z powrotem nałożyłem fez – opowiadał

dalej, poprawiwszy palcami włosy, aby ukryć szramę. – Podczołgałem się do drzwi skrytych we wnęce kościelnych murów. Oparłem się o nie plecami i nieporadnie, lewą ręką, bo prawą z bólu nie mogłem poruszyć, przygotowałem broń do strzału. Czekałem, aż któryś z Moskali znajdzie się bliżej. „Już ja wam pokażę, gdzie raki zimują – mamrotałem pod nosem, ostatnią kulę postanowiwszy zostawić dla siebie. – Żywego mnie, psie syny, nie weźmiecie!” Dla dodania sobie odwagi nucilem pod nosem naszą pieśń. Szło to, zdaje się, tak: „Marsz, marsz, żuawy, na bój, na krwawy, święty, a prawy. Marsz żuawy, marsz!” – Andrzej Rawecki schrypniętym już głosem zaśpiewał refren, bo tylko tyle zapamiętał sprzed lat. – Jednak zanim Moskale zdołali wypatrzeć moją kryjówkę – opowiadał dalej – stało się coś, w co do dziś jest mi trudno uwierzyć. Gdyby mi ktoś to opowiedział, nie dałbym wiary. A jednak była to najprawdziwsza prawda...

– Ale co takiego, dziadku? – dopytywała się Katarzyna. Z wypiekami na twarzy słuchała opowieści, zapomniawszy o bożym świecie i skrytym za stanikiem drobiazgiem.

– Wyobraźcie sobie – stary Rawecki zaczął dość tajemniczym tonem, pochylając się w stronę stołu – że drzwi nagle się uchylily i czyjeś silne ręce wciągnęły mnie do wnętrza kościoła. W półmroku panującym w świątyni ujrzałem mężczyznę w dojrzałym wieku, ubranego w czarny habit. Jego twarz ginęła w cieniu narzuconego na głowę kaptura. Jedyne oczy płonęły dziwnym blaskiem. Trzymając mnie za ramię jak w kleszczach, powiódł główną nawą aż do prezbiterium. Przesunął na bok okryty białym obrusem stół ofiarny, odsłaniając dość dużych rozmiarów kamienną klapę, obitą mosiężną blachą, na której widniał jakiś napis, ale w panujących ciemnościach nie zdołałem nic odczytać. Zresztą nie byłem ciekaw. Mój wybawca widać był mocarnym mężczyzną, gdyż z łatwością odsunął płytę na bok, jakby była z tektury. A moim oczom ukazał się zionący czernią otwór, jak

się domyśliłem, wiodący do krypty. Pogrzebie mnie żywcem, przyszło mi na myśl i zadrzałem ze strachu. Lecz on wziął do ręki lampkę olejową płonąca przed tabernakulum i oznajmił: „Wchodźcie śmiało za mną, mości oficerze. Z krypty prowadzą korytarze na zewnątrz”. – Andrzej na moment przerwał swoją opowieść i sięgnął po szklanę z kompotem. Całkiem od opowiadania zaschło mu w gardle.

Kola i Jura wykorzystali moment zamieszania powstały przy stole i błyskawicznie chwycili po kawalku drożdżowego przekładańca. Leopold nałożył sobie na talerz zimne już pierogi z suszonymi śliwkami i spuściwszy nisko głowę, aby nikt nie dostrzegł łez wzruszenia w jego oczach, udawał, że je z apetytem. Kiedy Andrzej odstawił pustą już szklanę i różkiem serwety osuszył zwędłe usta, opowiadał dalej:

– Zwinnie niczym młodzieniaszek mężczyzna ten wskoczył do środka, na wieko jednej z wielu trumien. Wyciągnął ku mnie rękę, aby pomóc mi zejść do podziemi. Byłem zbyt przerażony i obolały, aby dociekać, kim jest ów tajemniczy wybawiciel. Domyśliłem się tego znacznie później. Posłusznie zanurzyłem się w chłodną ciemność krypty. W mdłym świetle lampki ujrzałem zarysy spróchniałych trumien, pokrytych kurzem i pajęczynami. Z krypty wyszliśmy na korytarz, którego koniec tonął w ciemnościach. Otaczała nas, jak to mówią, grobowa cisza, jeśli nie liczyć głuchego odgłosu moich kroków. Jakimś cudem nieznamy stąpał bezszelestnie. Nie pamiętam już, jak długo szliśmy korytarzem, gdy nagle mój przewodnik przystanął. „Tutaj korytarz się rozwidla – oznajmił. – Ten na lewo prowadzi do wyjścia przy ulicy Skalbmierskiej, a tamten opasuje rynek. Wyjście znajduje się przy Krakowskiej, w piwnicy budynku w oficynie”. Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, gdy spod pachy wyjął zawiniątko, którego wcześniej nie zauważyłem, i rzekł: „Zdejmijcie z siebie, oficerze, ten mundur, bo każdy rozpozna w was powstańca, i odziejcie się w to...”. Podał mi czarny chałat, tańs z frędzlami oraz wysokie buty

i czapkę obszytą lisim futrem, jakie wówczas nosili pobożni Żydzi. Potem dodał: „Inaczej złapią was Rosjanie albo okoliczni chłopci, zwabieni nagrodą, dostarczą was do cyrkułu. Żywego lub martwego. Moskale handlują z Żydami, więc pozwolą wam spokojnie opuścić miasto”. Zanim zniknął, jakby się rozplynął w powietrzu, wcisnął mi do ręki lamkę olejową. Zdążyłem wówczas zauważyć, że na habicie miał umieszczony wizerunek gryfa wspiętego na tylnych łapach...

– Jak to możliwe? Tak wygląda przecież nasz herb... – zaskoczony Paweł wpadł ojcu w słowo. Był dumny z historii swego rodu wywodzącego się ponoć od Jaxy z Miechowa, krzyżowca, fundatora klasztoru Bożogrobców, który z Ziemi Świętej sprowadził do miasteczka zakonników. A w mieszkaniu przy Szpitalnej wisiało na ścianie pięknie przez Pawła rozrysowane drzewo genealogiczne.

– Gryf był identyczny jak nasz, choć nie na czerwonym polu, lecz widniał na czarnej materii habitu, w który człowiek ten był odziany – wyjaśnił Andrzej i ciągnął dalej: – Umościłem się na ziemi, tuż przy ścianie, i ściągnąwszy płócienną koszulę z grzbietu, podarłem ją na kawałki. Jednym owinąłem sobie ramię, drugim opatrzyłem ranę pod żebrami, a resztą powycierałem krew z twarzy i głowy. Gdy odpocząłem, nałożyłem na siebie chałat i całą resztę, a fez – uśmiechnął się przepaszająco, niczym figlarne dziecko – wcisnąłem do kieszeni, aby mieć pamiątkę. Zmówiłem pacierz i ruszyłem długim, ciasnym korytarzem przed siebie. Od czasu do czasu miałem wrażenie, jakby nad moją głową galopowały konie. Chwilami ziemia drżała i pył sypał się mi na łeb. Nie wiem, ile czasu trwało, zanim dotarłem do drewnianej klapy zasłaniającej wyjście. Chwilę się mocowałem z tym draństwem, ale w końcu dało się podnieść. Właściciel piwnicy przysypał go chrustem. Być może dla niepoznaki, być może zgromadzonym w tym miejscu na opał. Nieważne. Przez otwór w murze wyszedłem na podwórko, a stamtąd na ulicę.

Serce mi zamarło, gdy ujrzałem, co wyprawiało się w miasteczku... – Ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie głosu. Choć od tamtych wydarzeń upłynął szmat czasu, on wciąż nie mógł przeboleć śmierci tylu niewinnych ludzi. Do opowieści wrócił po chwili, gdy zapanował nad łzami cisnącymi się do oczu: – Pośród szalejących płomieni pijani żołdacy dobijali rannych powstańców, zdzierali z nich odzienie, a nagie zwłoki wrzucali do stojącej na środku rynku studni. Część mieszkańców Miechowa zdołała się skryć w zagajnikach na obrzeżach miasta lub rozpiezchła się po okolicy. Tych, którzy nie zdążyli zbiec ani się ukryć, kluto bagnetami, rąbano szablami i zabijano kolbami, a ich martwe ciała, bez różnicy wieku i płci, leżały pokotem pośród dogasających zgliszczy domostw. Rozochoceni wypitym alkoholem, upojeni zwycięstwem Moskale rabowali, co tylko się dało. Ich oficerowie, nie mogąc zapanować nad żadną krwią i łupów tłuszczą, czmychnęli jak szczury do koszar. Niezatrzymywany przez nikogo, bocznymi uliczkami, omijając trupy ludzi i zwierząt, wydostałem się z płonącego miasta. Minąłem cmentarz, gdzie jeszcze nie tak dawno wraz z towarzyszami pokonaliśmy Moskali, i drogą wijącą się między zaśnieżonymi polami, ledwie widoczną w zimnym blasku księżyca, zmierzałem przed siebie, nie znając, jak to mówią, ani celu swej wędrówki, ani swej przyszłości. Każdy krok był katuszą nie do wytrzymania. Powoli całe moje ciało stawało się ciężkie jak z ołowiu, trawiła mnie gorączką, a we łbie huczało jak w ulu. Byłem już u kresu sił i momentami nachodziła mnie ochota, aby zwalić się do rowu i więcej nie wstać. Nagle w oddali na tle rozgwieżdżonego nieba ujrzałem ubrane w śnieżne czapy wiejskie chałupy. Tak bardzo pragnąłem znaleźć się w ciepłym łóżku i usnąć, że zapomniałem o przestrożach człowieka w habicie. Jednak zanim dotarłem do opłotków, pociemniało mi w oczach i padłem jak martwy twarzą w śnieg.

ROZDZIAŁ 3

– Wystarczy, Andrzeju... – szepnęła Pola, kiedy ujrzała toczące się po twarzy swego męża łzy, i położyła drobną dłoń na jego ramieniu. Sama z trudem panowała nad szlochem, który usiłował się wyrwać z jej piersi. – Czas już do kościoła na pasterkę. Każ Antoniemu zaprzęgać do sań...

Zanim stary Jaxa-Rawecki uniósł się z krzesła, do jego kolan przypadły wnuczęta. Katarzyna i Daria nie kryły łez płynących im po policzkach. Chłopcy z czcią całowali dziadka po rękach. Wiktor po raz pierwszy zwątpił w słuszność podjętej przez siebie decyzji, aby swoje życie związać z armią carską, ale odwrotu już nie było. Leopold, otarłszy ukradkiem oczy, szybko doszedł do siebie i buszował po wigilijnym stole. Choć wzruszył się opowieścią, miał swoje zdanie na ten temat i nie był w nim odosobniony. Iluż to Polaków nosiło rosyjskie mundury, gdyż nauka w szkołach wojskowych była bezpłatna. Dzięki temu mogli uniknąć nie tylko biedy i głodu, ale zrobić karierę i dojść do wysokich zaszczytów. Na mocy carskich rozkazów synowie szlachty mieli do wyboru: albo kariera w aparacie urzędniczym, albo w armii. Leopolda do wojska nie ciągnęło. Został więc urzędnikiem

w administracji rządowej, kończąc studia w Warszawie, gdzie poznał Lizę, córkę sędziego. Przez lata nauki w rosyjskich szkołach i lata pracy w rosyjskich urzędach ich sposób myślenia przyjął za własny. „Przecież Rosjanie to tacy sami Słowianie jak my” – zwykł mawiać.

– Gdyby kąpani w gorącej wodzie młodzi nie spiskowali – odezwał się tonem pełnym pretensji, gdy odstawił wypitą do połowy kolejną już szklanę z kompotem, zbyt słodkim, jak pomyślał – Wielopolski mógłby dalej za zgodą cara wprowadzać reformy i do owej rzezi, jaką okazało się to całe powstanie, w ogóle by nie doszło. Tylko straciliśmy resztki wolności. Ale widać niektórzy nie wyciągnęli żadnych wniosków z przeszłości – perorował coraz bardziej rozsierdzony. – Znowu tworzą tajne organizacje i związki, pobrzękują szabellkami i do wojny się szykują. Liczą na Austriaków, choć to przecież tacy sami Niemcy jak Prusacy. Rosja to potęga i rację ma Dmowski, w carze szukając oparcia.

– Leo, synku... – Pola przerwała jego tyradę, widząc, że Paweł już otwiera usta, aby wtrącić swoje trzy grosze. Przez represyjną politykę władz rosyjskich Cezary, jego pierworodny, musiał opuścić rodzinne gniazdo. Tylko tego brakowało, aby te dwa koguty skoczyły sobie do oczu przy wigilijnym stole, pomyślała z niepokojem. – Wyprowadź konie ze stajni, bo wiesz, że Antoni rusza się jak mucha w smole i spóźnimy się na pasterkę.

Pół godziny później, pośród śmiechów i pokrzykiwań, młodzi Rawecy wskoczyli do sań, którymi miał powozić Leopold, a starsi wgramolili się do zaprzęgu, gdzie na koźle umościł się ubrany w barani kozuch Antoni, dający gwarancję jazdy statecznej i bezpiecznej. Miał już swoje lata, a za sobą osiem lat służby w 9. Wschodniosyberyjskim Pułku Piechoty i udział w wojnie z Japonią. W bitwie nad Yalu Jiang Japończycy sprawili im krwawą łaźnię, a Antoni został ranny. Choć od tego czasu utykał na lewą nogę, Andrzej Jaxa-Rawecki nie

wahał się wziąć go do siebie na służbę, za co zyskał dozą wdzięczność i szacunek Antoniego i jego żony, a także gro-
madki dzieci, które rodziły się rok po roku w Porętowie.

Leopold, udobruchany perspektywą powożenia, wskoczył do sań, chwycił lejce w jedną rękę, drugą strzelił z bata i smag-
nął konie po zadach. Ruszyły z kopyta i oba zaprzęgi, dzwo-
niąc donośnie metalowymi bałabonami, brzęcząc kulistymi
szeptunami i klekocząc drewnianymi kałatałami uwiązanymi
do skórzanych pasów na końskich szyjach, pomknęły w mrok,
drogą pomiędzy bezkresnymi polami, okrytymi śniegiem ni-
czym puchową pierzyną. Ciemne niebo skrzyło się milionem
gwiazd, a wąski sierp księżycy rzucił srebrzysty blask na całą
okolicę i twarze siedzących w saniach Raweckich, okrytych
ciepłymi derkami i baraniami skórami. Choć noc była mroźna,
humory im dopisywały. Jedyne Pola nie brała udziału w we-
solej rozmowie, jaka toczyła się między siedzącymi w saniach.
Perspektywa zbliżającej się wojny, której tak wielu oczeki-
wało, napelniała ją lękiem. Andrzej miał rację, myślała, młodzi
nie wiedzą, jaką cenę przyjdzie im zapłacić za krótką chwilę
radości, gdy ubiorą ich w mundur i wcisną karabin do ręki,
a dziewczyna da buziaka na drogę.

Liza, także markotna, przytuliła się do boku swej teściowej,
jakby chciała znaleźć w niej bezpieczną przystań. Wciąż w jej
uszach brzmiały słowa opowieści teścia. Nie miała pojęcia,
że Polacy mieli za sobą tak tragiczną i bolesną historię i że ta
historia dotyczyła także jej teścia, którego bardzo szanowała
i lubiła. Poczula coś na kształt wstydu za swego ojca, Rosja-
nina, który był sędzią i przez długi czas pełnił ten urząd także
w Warszawie. Być może skazywał bohaterskich Polaków na
śmierć lub zesłanie, pomyślała z bólem serca. Nigdy wcześniej
nie zetknęła się z przemocą czy wojną. A ta ponoć zbliżała się
wielkimi krokami, choć jej mąż twierdził zgoła co innego. Co
stanie się ze mną i dziećmi, gdy Niemcy zaatakują? – myślała
przerażona. Ponoć będą używać gazu trującego...

– Czy mama może wie, kto uratował tatę, kiedy tak leżał bez czucia na drodze? Bo przecież nie umarł... – spytała, gdy wraz z pierwszym zaprzęgiem oddalił się gwar głośnych rozmów i donośny śmiech młodych Raweckich siedzących w saniach. Z ciemności dobiegał jedynie wesoły dźwięk dzwoneczków i z daleka migotał chybotliwie płomień trzymanej przez Albina pochodni.

– Wiem – odparła po chwili Pola, nachyliwszy się w stronę synowej. Tętent końskich kopyt i głośna rozmowa na tematy gospodarskie między Andrzejem a Pawłem zagłuszały jej słowa. – Tamtego roku późnym wieczorem do dworu w Porętowie przybiegł nasz stajenny Ignacy. Narobił rabanu, że jakiś Żyd martwy leży przy drodze. Wpadł w panikę, że jego oskarżą o zabicie i obrabowanie tego nieszczęśnika. Gospodarowałam wówczas sama. Mama mnie osierociła, gdy byłam dzieckiem. Ojciec zmarł tuż przed wybuchem powstania, jeden z braci po skończeniu seminarium duchownego otrzymał stanowisko wikarego w katedrze wrocławskiej, a drugi poszedł do powstania. W ten straszny czas zostałam sama jak palec, ze starą kucharką i głupkowanym stajennym. Kazałam zaprząć konia do sań i pojechałam sprawdzić. Z daleka w świetle księżycy dostrzegłam na drodze leżącego bez życia człowieka. Gdy podjechałam bliżej, od razu się przekonałam, że nie mam do czynienia z Żydem, lecz rannym, być może śmiertelnie, powstańcem. Z trudem wciągnęłam go do sań i przywiozłam do dworu. Ulokowałam w alkierzu, tym samym, gdzie teraz jest sypialnia waszych chłopców. Opatrzyłam rany, jak potrafiłam, i jeszcze tej samej nocy udałam się konno przez las do starej babki, która leczyła ziołami.

– A nie lepiej było przywieźć lekarza z Miechowa? – spytała naiwnie Liza.

– Ależ dziecko! – Pola zerknęła na synową z dezaprobatą. – Przecież miasteczko płonęło, Rosjanie rabowali i mordowali bez opamiętania. Bardziej ich się bałam niż wilków,

które mogły na mnie napaść po drodze. Ale widać Pan Bóg czuwał nad moim losem, bo wróciłam z leczniczą maścią cała i zdrowa...

Pola nagle umilkła. Wzruszenie zasznurowało jej gardło. Wciąż miała w pamięci tamte dni, jakby to było wczoraj. Cierpiącego Andrzeja i rodzące się między nimi gorące uczucie oraz Rosjan, którzy w poszukiwaniu ukrywających się powstańców zaglądali do dworu, rabując przy okazji żywność i rekwirując konie. Dla rannego Raweckiego przy pomocy Ignacego urządziła w stodole zgrabną kryjówkę w stogu siana, gdzie mógł się schować, kiedy jakiś szwadron carskich dragonów zapędzał się do wsi. Pewnej nocy rozpętała się straszna burza i przelękniona Pola boso, w samej koszuli nocnej, pobiegła do alkierza, gdzie spał Andrzej. Pozostała z nim aż do rana, wtulona w jego szerokie ramiona, obsypywana pieśzcotami, jakich nigdy wcześniej nie zaznała.

- I co było dalej? - pytanie Lizy wyrwało Apolonię z jej słodkich wspomnień.

- Jak to bywa w życiu. - Pola posłała synowej porozumiewawczy uśmiech. - Andrzej się oświadczył i wzięliśmy ślub. Nikt o jego udziale w powstaniu nie wiedział, więc nie został aresztowany. Kiedy pewnego dnia opowiedziałam tę historię naszemu kuzynowi, pisarzowi, zainspirowała go do napisania pięknej powieści. Zresztą pisał ją tutaj u nas, w Porętowie. Oczywiście dla celów literackich, aby uwypuklić problemy społeczne z tamtych czasów, zmienił to i owo.

- Nie miałam o niczym pojęcia - oznajmiła Liza odrobinę zakłopotana swoją niewiedzą. - Ani o tych powstaniach, o represjach, ani o waszej wielkiej miłości. A tę książkę to czytałam. Chyba mi mama nie powie, że straciła wianek przed ślubem jak ta panna z powieści? - Zachichotała porozumiewawczo i po chwili zaniósła się kaszlem.

- Nie podoba mi się twój kaszel, Lizo - Pola wykorzystała sytuację i zmieniła temat. - Czy to aby nie tuberkuloza?

– O, już jesteśmy w Miechowie. – Liza także nie miała zamiaru być szczerą wobec swojej teściowej. Rozmowa na temat zdrowia napawała ją przerażeniem. Była przecież młoda, miała jeszcze dzieci do wychowania, chciała doczekać się wnuków, a nie umierać. – Ileż ludzi podąży na pasterkę! – zdziwiła się, widząc w blasku nielicznych latarni sunące ulicami sanie, wypełnione po brzegi pasażerami, oraz całe rodziny odświętnie odziane, maszerujące w kierunku kościoła Bożogrobców. Biorąc ślub z Leopoldem, z żalem musiała porzucić prawosławie, które uważała za bliższe Bożej prawdy niż katolicyzm, choćby w kwestii więzi łączących małżonków.

Sanie z pozostałymi Raweckimi już były na miejscu, a Leopold wraz z resztą czekał na ulicy wiodącej do kościoła. Z policzkami zarumienionymi od siarczystego mrozu, z oczyma błyszczącymi z emocji, wciąż sprawiał wrażenie młodzieńca. Choć Paweł urodził się tylko dwa lata przed nim, ze swoimi zgarbionymi plecami i wiecznie zatroskanym wyrazem twarzy sprawiał wrażenie znacznie starszego. Wygramoliwszy się z sań przy pomocy Wiktora i Jerzego, Andrzej obrzucił spojrzeniem całą swoją rodzinę i ruszył w stronę widocznego z daleka kościoła. Im bliżej świątyni, tym tłum stawał się gęstszy, wzmagął się gwar rozmów, zewsząd rozlegało się rżenie koni i krzyki wyrostków, obrzucających się śnieżkami.

– Tatu! – nagle zawołała Katarzyna. – Zostawiłam w saniach mufkę. Zaraz wracam! – I nie czekając na zgodę ojca, odwróciwszy się na pięcie, pomknęła z powrotem w stronę rynku, gdzie został Antoni pilnujący obu zaprzęgów.

Gdy nabrała pewności, że zniknęła rodzicom z oczu, zwolniła kroku i z kieszonki obszytego futerkiem palta wyciągnęła małe lusterko. Z uwagą zerknęła na swoje odbicie. Policzki mam czerwone jak chłopka, pomyślała niezadowolona, i usta całkiem spieczone. Brązowe oczy wydawały się

jeszcze większe i plonęły dziwnym blaskiem. Rozsypane na ramionach jasne włosy, całe w drobnych lokach, ładnie kontrastowały z czarną czapeczką obszytą puszystym futrem. Rozejrzała się uważnie w poszukiwaniu znanych sobie sylwetek lub twarzy, a nikogo znajomego nie zauważywszy, pobiegła w stronę tonącej w ciemnościach Wolbromskiej. Ulica zdążyła już całkiem się wyludnić, bo msza właśnie się rozpoczęła. Katarzyna zwolniła kroku, wpatrując się w mrok przed sobą. W panującej wokół ciszy słyszała mocne bicie własnego serca i przyspieszony oddech. Dopiero po chwili dostrzegła odcinającą się od bieli śniegu ciemną sylwetkę wysokiego mężczyzny stojącego pod drzewem. Już jest, pomyślała.

ROZDZIAŁ 4

Katarzyna z sercem trzepoczącym się jak ptak na uwięzi ruszyła w stronę niecierpliwie czekającego na nią mężczyzny. Rozpoznała go natychmiast, choć wszędzie panowały ciemności, rozświetlane jedynie przez błądy sierp księżyca i śnieg leżący wokół. Ubrany w dragoński zimowy mundur, w czapce obszytej karakułowym futerkiem, z wiszącą u boku szaszką o mosiężnej, lśniącej w blasku księżyca rękojeści, trzymał za uzdę karego konia. Drugą ręką delikatnie gładził jego aksamitne chrapy, chcąc uspokoić zwierzę, nerwowo przestępujące z nogi na nogę, prychające raz po raz, jakby nie mogło doczekać się jazdy.

– Katarzyno Pawłowna... – szepnął, gdy dziewczyna podeszła całkiem blisko, i ująwszy ją za rękę, czule przytknął wewnątrz jej dłoni do swych ust. Ich żar zdawał się parzyć jej skórę. – Dziękuję, że pani przyszła. Tak bardzo tęskniłem. Brakowało mi pani obecności jak powietrza, jak słońca na niebie. A pani? Pani tęskniła choć odrobinę? – wypytywał, wciąż ściskając jej rękę.

– Tak, Igorze Piotrowiczu – odparła szeptem, nie mogąc oderwać od mężczyzny rozkochanego spojrzenia. – Bardzo

tęskniłam. Jedynie wasze listy, tak czule, pozwoliły mi przetrwać czas rozłąki.

Poznali się przed miesiącem, na balu zorganizowanym przez burmistrza Miechowa z okazji imienin carowej Aleksandry, na który Paweł i Agnieszka Rawecy wraz z córką otrzymali zaproszenie. Dla rodziców było to wyróżnienie, świadczące o ich pozycji w społeczności miasteczka, a dla Katarzyny pierwszy wielki bal, wprowadzający ją w dorosłe życie. Z emocji nie jadła i nie spała przez dwa dni i dwie noce. W efekcie jej twarz pobraźla, a pod oczyma pojawiły się cienie, co tylko dodało jej uroku i tajemniczości. Gdy orkiestra zagrała pierwszego walca, z niepokojem śledziła, jak siedzące po jej obu stronach wystrojone panny jedna po drugiej były proszone do tańca, a na nią nawet nikt nie spojrział. Nikomu się nie podobam, pomyślała, to pewnie przez te loki, które znowu wymknęły się spod klamry. Wyglądam jak nieuczesa. I muszę przestać się uśmiechać, bo, jak mówi mama, mężczyznom podobają się dziewczęta stateczne, a nie trzpiotki chichoczące po kątach. Może jednak mama ma rację, że jestem za chuda i powinnam jeść więcej klusek, a mniej jeździć konno po polach? Może przez to wciąż mam drobne piersi? Czym będę karmić dzieci, które przysłemu mężowi urodzę? Opuściła wzrok na dekolt swojej wieczorowej sukni, uszytej z kremowej delikatnej tkaniny, spływającej prawie do samej podłogi. Obramowany koronką, odsłaniał dwie, co prawda niewielkie, ale kształtne półkule. Tuż nad nimi migotał w świetle lamp szmaragdowy wisiorzek na złotym łańcuszku otrzymany w prezencie od babci Poli.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Przez środek rzęsiście oświetlonej sali balowej prosto w jej stronę zmierzał oficer w galowym mundurze dragona. Dopasowana kurtka, zapinana na jeden rząd guzików, podkreślała jego zgrabną sylwetkę i szerokie ramiona. Górował nad innymi mężczyznami wzrostem, a czarne jak skrzydła kruka, falujące włosy

lśniły w świetle kryształowych lamp. Równie czarne wąsy, starannie przycięte, uwypuklały jego zmysłowe usta. Gdy skłonił się tuż przed Katarzyną, poczuła przyspieszone bicie serca i oblewający jej policzki niechciany rumieniec.

– Igor Piotrowicz Kaledin, porucznik dragonów – przedstawił się i prosząc Katarzynę do tańca, wyciągnął w jej stronę dłoń w nieskazitelnie białej rękawicze.

Ledwie zdążyła wydusić z siebie, jak miała na imię, gdy silnym ramieniem objął jej szczupłą talię i w takt muzyki powiódł pomiędzy tańczących. Jego ramiona przysłoniły jej cały świat. Przed oczyma miała jedynie długi rząd guzików jego munduru, odznakę pułkową w kształcie gwiazdy, przypiętą w miejscu, gdzie biło serce, i nieznany jej wiszący pod szyją order. Jednak gdy podniosła wzrok ku górze, napotkała parę oczu czarnych jak noc i równie jak noc głębokich. Miała wrażenie, że całkiem w nich utonęła. Wpatrywali się w siebie bez słów, które wydawały się im całkowicie zbędne. Spojrzenia mówiły więcej niż najbardziej wymyślne słowa, a upojna muzyka granych jeden po drugim walców dopowiadała reszty. Gdy bal dobiegł końca, Katarzyna była już zakochana po same uszy. Pierwszy raz w życiu.

Jednak jej szczęście nie trwało długo. Już w drodze do domu usłyszała od ojca, że tańcząc cały wieczór z carskim dragonem, zachowała się nieodpowiedzialnie. Cóż z tego, że oficer z szlacheckim tytułem, lecz Rosjanin, zaborca. Dziadek Andrzej na taki związek nigdy zgody nie wyrazi. Wystarczy, że Wiktor jest w rosyjskim wojsku. Syn aptekarza, Ksawery Drogosz, to dla niej odpowiednia partia. Rodzina zamożna, wywodząca się ze szlachty, o tradycjach powstańczych. Chłopak obejmie aptekę po ojcu, a po matce dostanie pięćdziesiąt morgów gruntu. I urody też mu odmówić nie można. Cóż z tego, że słabego zdrowia. Skrzypiące koło dłużej jedzie, odparł ojciec na zarzut Katarzyny, że nie ma zamiaru wcześniej owdowieć. Resztę nocy dziewczyna przeplakała, tuląc twarz

w poduszkę. Rano wstała zapuchnięta, z oczyma czerwonymi od morza wylanych łez. Ale ojciec pozostał nieugięty. Nie wolno jej spotykać się z Kaledinem.

– Przecież stryj Leopold ożenił się z Rosjanką! – nie mając zamiaru się poddać, na drugi dzień podczas obiadu wróciła do sprawy. – I nikomu się krzywda nie stała, a dziadek Andrzej bardzo lubi ciocię Lizę!

– Ale jej matka była Polką! – odparł Paweł stanowczym tonem i odsunął od siebie talerz z kapuśniakiem. Już go paliła zgaga. Nie wiedział, czy po zupie, czy z nerwów. – A po ślubie Liza przeszła na łono Kościoła katolickiego i twoi kuzyni są wychowywani w naszej wierze.

Nie pomogły nawet słowa Agnieszki, która leżąc już w małżeńskim łóżku, wstawiła się za córką, przypominając Pawłowi, że on także nie był posłuszny woli rodziców i się ożenił, zamiast iść do seminarium duchownego. Ale ojciec pozostał nieugięty. Widząc jej rozpacz, Hana Rubinka, sprzedawczyni koronek w sklepie przy rynku, podjęła się pełnić funkcję posłańca, potajemnie nosząc listy zakochanych między jej sklepem a koszarami na Wolbromskiej. Wieczorna msza w Wigilię stwarzała szansę na ukradkowe spotkanie zakochanych pod osłoną nocy, z dala od czujnych spojrzeń rodziców.

Kaledin objął Katarzynę w pól i wolnym krokiem ruszyli w dół ulicy, zostawiając za sobą niewysokie domy o wygaszonych oknach. Trzymany za wodze koń grzecznie podążał tuż obok. Stukot jego kopyt zagłuszał czule słowa, które Igor szeptał dziewczynie do ucha. Gdy domyślny księżyc skrył twarz za chmurą, Igor wypuścił z rąk wodze i biorąc Katarzynę w ramiona, obrócił ku sobie. Drżąc z emocji, zarzuciła mu ręce na szyję. Stała na palcach i przymykając oczy, wystawiła ku niemu spragnione pocałunków usta. Choć sobie wiele razy wyobrażała, jak będzie wyglądał ten pierwszy raz, rzeczywistość przerosła jej najśmielsze oczekiwania.

Świat zawirował jak oszalały, a ona razem z nim. Pozbawiony kontroli koń, nie wiedząc, co zrobić z niespodziewanie odzyskaną wolnością, ruszył w stronę koszar, aby po chwili przystanąć niepewnie. Potrząsał łbem, spoglądając na swego jeźdźca, który wciąż tulił dziewczynę w objęciach. Ogarnięci namiętnością nawet nie zauważyli, kiedy jej spadła czapka z głowy. On swoją sam cisnął w śnieg, aby nic mu nie przeszkadzało w całowaniu ukochanej. Odrywali się od swoich ust jedynie po to, aby spojrzeć sobie głęboko w oczy i upewnić się, że ta chwila nie była snem.

– *Wasze blagorodie...* – usłużny głos ordynansa porucznika, Wasyla, który niespodziewanie wynurzył się z ciemności, wyrwał Katarzynę z objęć Kaledina. – Już pora. Na bożeństwo dobiega końca.

Postawiony przez swego chlebodawcę na straży, miał pilnować czasu, który los przeznaczył dla zakochanych. Opuszczając usłużnie wzrok, pozbierał z ziemi obydwie czapki. Rękawem płaszcza starannie oczyścił ze śniegu, a Katarzyna, wciąż czując na ustach piekący żar pocałunków, usiłowała doprowadzić do porządku zburzoną przez dłonie Igora fryzurę.

– To dla was, Jekatierino, abyś zawsze miała mnie przy sobie – szepnął Kaledin, wręczając speszzonej dziewczynie swoją fotografię, oprawioną w ramki.

– Ja też mam dla was prezent, Igorze Piotrowiczu – szepnęła nabrzmiałymi od pocałunków ustami.

Rozpięła palto i wyciągnęła zza stanika skrywany tam przez cały dzień srebrny medalion, wiszący na czerwonej wstążeczce. Podała go Igorowi z drżeniem serca. Wciąż miał w sobie ciepło jej ciała. Kaledin z czułością przytknął go do swych ust. Gdy po chwili otworzył medalion i ujrzał fotografię Katarzyny, chwycił ją w objęcia i raz jeszcze mocno pocałował.

– Dostałem urlop i muszę pojechać do rodziców na święta – oświadczył, z żalem wypuszczając ją z ramion. – Wrócę za trzy tygodnie.

– Za trzy tygodnie? – podniosła na niego szeroko otwarte, zdumione oczy, w których momentalnie zaszkliły się łzy. – Dlaczego tak długo, Igorze Piotrowiczu? Ja tego nie przeżyję... Umrę z tęsknoty... – Z trudem panowała nad sobą, aby nie wybuchnąć szlochem.

– Mnie też będzie ciężko, kochana moja... – Nie patrząc na obecność ordynansa, stojącego z oczyma utkwionymi na czubkach swoich żołnierskich sięgających kolan butów, raz jeszcze mocno przygarnął Katarzynę do piersi. – Ojciec chce się ze mną widzieć. Zresztą ja też muszę z nim porozmawiać. O nas. Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Miłuję cię nad życie – szepnął, patrząc Katarzynie głęboko w oczy. – A ty? Miłujesz mnie?

– Miłuję... – odparła przez łzy. – Nawet nie wiem powiedzieć, jak bardzo, bo nigdy nikomu tego nie mówiłam, ale kocham cię tak, jak się kocha tylko raz w życiu. Nie wiem, jak mogłam do tej pory żyć bez ciebie...

Jeszcze jedno muśnięcie ust, jeszcze jeden uścisk dłoni, ostatnie spojrzenie i Katarzyna, tłumiąc szloch, puściła się biegiem poprzez mrok ulicy w stronę kościoła, z którego wierni już zaczęli się wysypywać po skończonej mszy.

Poznali się na balu z okazji imienin carowej Aleksandry. To był pierwszy bal polskiej szlachcianki Katarzyny Jaxa-Raweckiej. Miała zaledwie siedemnaście lat, burzę niesfornych loków, a wieczorowa suknia uszyta z kremowej delikatnej tkaniny podkreślała jej smukłe kształty. Przetkańczyła cały wieczór z carskim dragonem, porucznikiem Igorem Kaledinem. Gdy usłyszała od niego: „Cały mój świat to ty”, nie przypuszczała, że będzie musiała zdusić w zarodku kiełkującą w jej sercu miłość. Nad Europę nadciągały bowiem ciemne chmury. Słysząc było pierwsze pomruki Wielkiej Wojny...

Polski romans historyczny, jakiego jeszcze nie było! Wystawiona na ciężką próbę miłość Katarzyny i Igora splata się z dramatycznymi losami rodziny Jaxa-Raweckich, których wojenny czas rozdzielił i ubrał w mundury wrogich armii.



JOLANTA MARIA KALETA – historyk i politolog, z zamiłowania pisarka. Wiele lat pracowała we wrocławskich muzeach oraz uczyła historii w liceum. Autorka dwunastu powieści sensacyjno-kryminalno-przygodowych. *Wojna i miłość* to jej pierwszy romans historyczny.

— jolantamariakaleta.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-553-2



Cena detal. 49,90 zł


OTWARTE